

Helena Boguszevska

CAŁE ŻYCIE SABINY

Scenariusz TV na motywach powieści:
Wiesława Czaplińska i Barbara Wachowicz

OSOBY:

NARRATOR	CIOTKA BRONISŁAWA
SABINA	ALICJA
JAN, mąż Sabiny	TOMASZ
KAZIMIERZ, ich syn	DOKTOR
HELENA, siostra Sabiny	BAUN
KAROL, mąż Heleny	POLCIA
HALINKA	MICHAŁ
MARYSIA } ich córki	SZULCOWA
MATKA Sabiny i Heleny	PANNA MANIA
PANNA ZOFIA	DYREKTOROWA
STASIA	APTEKARZOWA
MODESTOWA	TEOFILA
OSTAP	SOBIESKA

Brama starej warszawskiej czynszowej kamienicy. Smutne są wnętrza starych bram, ponure i mroczne. Mają w sobie coś ze starych, wiekowych, opuszczonych grobowców. Po obydwu stronach przyklejone do ścian gipsowe, secesyjne kariatydy, podtrzymujące sklepienia bramy. Tu i ówdzie odpryski zabliźnione kurzem i brudem. Ściany spatynowane. Liszajewate. Nadgryzione zębem czasu. Po prawej i po lewej stronie dwa portale z drzwiami prowadzącymi na klatki schodowe. Przy każdym kilka wydeptanych stopni.

W głębi bramy podwórze, jasno oświetlone jesiennym, popołudniowym słońcem. Na podwórzu orkiestra uliczna. Pięć osób: skrzypce, harmonia, gitara, banjo i śpiewak. Grają tango "Jesienne róże". Śpiewak zduszonym, ale dźwięcznym falsetem z manierą "zawodowca" śpiewa słowa piosenki.

Do bramy wchodzi czarno ubrana kobieta. Jest to Sabina. Nie widzimy jej twarzy, bo odwrócona jest do nas plecami. Sabina ciężkim, powolnym krokiem idzie w głąb bramy. Zatrzymała się. Widzimy ją teraz w pełnej sylwetce. Staromodna sukienka. Narzutka. Kapelusz. W prawej ręce luźno zwisa skórzana torebka.

Stanąła w bezruchu. Czarna sylwetka w mrocznej bramie na tle zalanego słońcem podwórka. Patrzymy teraz na twarz Sabiny. Jest to zmęczona, żółkła, schorowana twarz niemłodej już kobiety. Trudno określić wiek. Spod kapelusza wysuwają się kosmyki siwych włosów. Ślady dużej urody. Oczy wielkie, wyraziste, ale bez blasku, głęboko zapadnięte. Na ich dnie czai się smutek i piętno choroby.

Sabina słucha przez chwilę piosenki. Na jej twarzy zajaśniał cień uśmiechu - a może jest to cień przypomnienia? Melodia natarczywie wciska się do uszu. Sabina machinalnie podniosła wzrok do góry. Z wysoka spoglądała na nią obtłuczona, zablizniona kurzem i spatynowana czasem, schorowana twarz gipsowej kobiety. Regularne rysy. Niegdyś gładki, klasyczny profil utracony w połowie.

Sabina powiodła wzrokiem w inną stronę. Spoglądała na nią druga twarz. Cała, nienaruszona ale zaszka kurzem i patyną. Sabina rozgląda się po bramie, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy. Dostrzega plamy, zacieki, ubytki, wyrwy w ścianach, odpryski. Dostrzega kamienną posadzkę bramy. Wszystkie obkurzone, brudne, zżarte i nadwątlone bezlitosnym czasem.

Orkiestra gra bez przerwy. Śpiewak z "uczuciem" interpretuje słowa piosenki.

Twarz Sabiny. Duże zdziwione oczy zaszklily się. Ożyły. Drobną dłoń opięta w czarną rękawiczkę błędzi po zmarszczonym czole. Jakby odpędzała natrętne, niedobre myśli.

Sabina skręca w lewy portal klatki schodowej. Wstępuje na pierwszy stopień. Klatka schodowa jest mroczna i wielka. Dziesiątki stopni zapadniętych milionami ludzkich stąpień. Wyślizgane, drewniana balustrada.

U podnóża schodów stanęła mała kobieca sylwetka w czerni. Zaczyna wspinać się po stopniach. Idzie ciężko, z wysiłkiem.

W połowie pierwszego piętra przystanąła zmęczona. Na czole pojawiły się kropelki potu. Oparła się o balustradę. W prawej ręce zwisa luźno czarna torebka. Po krótkiej chwili odpoczynku Sabina zaczyna dalszą wędrówkę po stopniach.

Jest już na trzecim piętrze. Widzimy schody i drzwi wejściowe do mieszkania. Ciężkie buty ze ściętymi obcasami niosą Sabinę bardzo wolno. Już pozostało tylko kilka stopni. Nareszcie stanęła przy drzwiach. Przekręciła dzwonek. Rozległ się ostry, grzechotliwy dźwięk. Drzwi mieszkania uchyliły się.

W drzwiach stanęła siostra Sabiny - Helena. Niespokojne, pytające spojrzenie. Zrobiła krok do przodu, jakby chciała się lepiej przyjrzeć Sabinie.

HELENA /niepewnym, łamliwym głosem/ no i co?
Co powiedział?

/Sabina nie odpowiada. Uśmiecha się gorzko, ze smutkiem, i wchodzi do korytarza. Za jej plecami Helena ostrożnie, aby nie zrobić niepotrzebnego hałasu, przyryka drzwi, z tym samym pytającym spojrzeniem w oczach.

Sabina nie ogląda się na siostrę. Idzie korytarzem. Za jej plecami, na wysokości ramienia, idzie Helena. Za nimi wyrasta mroczna perspektywa zagraconego korytarza. Takiego, jaki spotyka się w starych, wysokich, obszernych mieszkaniach. Z sufitu zwisa żyrandol. Na ścianie wieszak z palcami. Na półce okrycia głowy. Jakies czapki. Kapelusze męskie i damskie. Lustro stojące. Kufry. Walizy poukładane piętrowo w niszach. Rower. Stary, zniszczony fotel. Obrazy w ciemnych, grubych ramach.

Nagle Sabina zatrzymała się. Zdjęła kapelusz, na skronie zsunęły się kosmyki włosów. Mówi w przestrzeń, przed siebie, nie zwracając uwagi na obecność siostry, która z lękiem i trwogą nie spuszcza z niej oczu/.

SABINA ... tak, tym razem to już naprawdę. Przecież zawsze za którymś tam razem musi być naprawdę... I dla każdego przychodzi to "n a p r a w d ę" ... /odwraca się do Hele-

ny. Spoglądają na nią szkliste, zastygłe w niepokoju i niemym pytaniu oczy. Sabina podsuwa się do Heleny. Mówi jej do ucha, prawie szeptem, jakby powierzała jej głęboko dotąd skrywaną tajemnicę/ ... ciotka Teresa też tak powiedziała: czuję, że tym razem to już naprawdę ... i stara Szulcowa też ... i ciocia Aniela, i m a t k a ... /odwraca głowę od Heleny. Mówi przed siebie spokojnie/ ... cóż takiego, Boże drogi, przecież wszyscy.

HELENA /obejmuje Sabinę ramieniem. Przytula mocno. Odpowiada ciepło, z trudem ukrywając wzruszenie/ Sabino, uspokój się, proszę cię ...

/Jedne z bocznych drzwi na korytarzu otwierają się i wychyla się z nich chuda twarz Karola, męża Heleny. Wychylił się, objął Sabinę zziębniętym spojrzeniem i zaraz cofnął się.

One zaś idą korytarzem w stronę drzwi otwartych do widnego, oświetlonego słońcem pokoju. Uchylają się drugie drzwi. Wyzierają z nich główki dwóch córek Heleny, szesnastoletniej Halinki i dziesięcioletniej Marysi.

Sabina z Heleną wchodzi do pokoju zwanego gabinetem. Jest to obszerny, widny pokój. Dwa okna. Za oknami panorama Warszawy. Duży kaflowy piec. Biurko, za nim fotel. Na ścianach obrazy. Jakiś kilim. Odnosi się wrażenie, że wszystkiego tu za dużo. Zegar stojący w rogu. Wielka, stara, dwudrzwiowa szafa. Kanapka. Drugi fotel miękkiej oparciem, stary i wyleniawy. Ściany ciemne, tapetowane. Z sufitu zwisa ciężki żyrandol. Mimo słońca wciskającego się przez okna pokój jest raczej ponury - zagęszczony. Dwoje drzwi - wyjściowe na korytarz i drugie do sąsiedniego pokoju. Sabina z Heleną wchodzi do pokoju. Helena prowadzi Sabinę na fotel. Stają przy fotelu. Helena delikatnie wyjmie z rąk Sabiny kapelusz i torebkę, kładzie je na biurku. Następnie zdejmuje jej z ramion narzutkę. Trzymając narzutkę przerzuconą przez rękę, sadza Sabinę na fotelu. Sabina pozwala sobą kierować bezwolnie i bezradnie, jak

dziecko. Zapada w głębokości fotela, tonie w nim. Oczy jej patrzą daleko, jakby poza ten pokój. Opiera się plecami o wytarte oparcie. Ręce kurczowo ściska na kolanach. Helena gładzi ją pieśczośliwie po włosach. Niezręczne, kłopotliwe milczenie. Zegar zaczyna wybijać godziny. Z podwórka dochodzi dźwięk podwórzowej orkiestry. Helena zdobywa się na odwagę i przerywa milczenie/

HELENA No i co powiedział lekarz? Kazał leżeć?

/Nagle z piersi Sabiny dobywa się głuchy szloch, a potem przerywane, nabrzmiałe od łez słowa/

SABINA ... tak ... kazał zaraz położyć się do łóżka.

HELENA /prysuwa krzeselko. Siada blisko siostry. Zdobywa się nagle na optymizm. Mówi pogodnie, prawie bez troski/ A widzisz... zaraz przeniesiemy tutaj twoje łóżko... nie możesz przecież sypiać w tym ciemnym z dziewczętami... tu będziesz miała więcej powietrza. Ustawimy tu wszystko... /wstaje i chce krzyknąć coś w stronę drzwi, ale Sabina szeptem gwałtownie/

SABINA Usiądź na chwilę przy mnie...

/mówi to tak dziwnym, spokojnym głosem, że Helena jak automat posłusznie siada na krześle obok. Nadrabia miną. Usiłuje być nadal pogodna i niefrasobliwa. Sabina opiera ręce na poręczach, wyprostowuje się i zaczyna mówić powoli/ Pamiętasz... pamiętasz, jak byliśmy jeszcze małe i umierała ciocia Aniela?...

/Helena skurczyła się. Twarz jej ściągnęła się. Od słów Sabiny powiało czymś niedobrym. Sabina mówi dalej/

... nie mogliśmy tego zrozumieć, jak to można umrzeć?... i zdawało się nam, że chociażby cały świat umarł... to my dwie będziemy zawsze żyły... A teraz właśnie jedna z nas...

/Sabina na chwilę przyryka oczy, ale natychmiast je otwiera, bo Helena poderwała się z krzesła i w jakiś nieokreślony sposób zaprzecza rękami i całą sobą treści rozbrzmiałych przed chwilą słów. Wzburzona odwróciła się i biegnie w stronę drzwi krzycząc/

HELENA ... Halinko, Karolu, Stasiu - pomóżcie przenieść łóżko... /wybiega z pokoju/

/Sabina siedzi nieruchomo w fotelu. W sąsiednich pomieszczeniach słychać rwetes. Tupot kroków na korytarzu. Szuranie mebli. Helena wydaje dyspozycje/

HELENA Niech Stasia napali w gabinecie i dajcie tam ten mały stolik...

/Reszta słów tonie w dźwiękach muzyki. Będzie to główny motyw audycji.

Sabina siedzi nieruchomo w fotelu zapatrzona przed siebie. Pojawiają się napisy czołowe audycji/

N a p i s :

CAŁE ŻYCIE SABINY

NARRATOR Dnie szły jakieś podniecone, odświeżone, niezwykajne. Helena wzięła urlop, po całych dniach krzątała się koło chorej i wstawała w nocy. "Organizowała" chorobę Sabiny... Sabina jednak wiedziała dobrze, że tu już nie pomoże żadne organizowanie, kiedy przychodzi to "ostatnie" i to "naprawdę"... Nieśli pomarańczowe i amarantowe prymule w zwojach zmiętej kwiaciarnianej bibułki. Wchodzili z niepewnymi minami i zaraz dziwili się, że Sabina tak dobrze wygląda, a potem rozmawiali wesoło i o wszystkim. Mąż Heleny, Karol, wychodził ze swego pokoju i ze wstydlwym uśmiechem mówił, że musi iść na posiedzenie i wychodził. A goście siedzieli dalej, dopóki Sabina nie przykneła oczu

- chociaż właściwie nie była zmęczona, a tylko chciała zastanowić się nad tym... nad czym?...

Leżała osłabiona, bierna, dziwiąc się, że tak od razu weszła w rolę najważniejszej osoby w domu. Ale kiedy urlop się skończył, Helena zrozumiała, że choroba Sabiny zadomowiła się w jej mieszkaniu na długo. Zamknęła się z Karolem w swoim pokoju i rozmawiali cały wieczór, a Sabina dostała wypieków patrząc na zamknięte drzwi. W końcu drzwi się otworzyły i Karol przemknął przez pokój, niewyraźnie oznajmiając, że jest już o wiele spóźniony na posiedzenie. Sabina słyszała jak długo kaszlał w przedpokoju.

HELENA Sabino, co byś zjadła na kolację, bo jest ten rosół...

/mówi szybkim, zdenerwowanym głosem. Sabina skinęła na siostrę ręką/

SABINA Posłuchaj, jeśli to ma długo trwać...

HELENA Znowu zaczynasz... zobaczysz, jak się będziesz czuła po sześciu tygodniach porządnego leżenia... sama się przekonasz. /szybko wybiega z pokoju i Sabina słyszy, jak wydaje dyspozycje/... niech Stasia ubije trzy żółtka, tylko dobrze utrzeć.

/Helena stoi w pokoju jadalnym. Jest bardzo zmęczona i osowiała. Kładzie się ciężko na kanapie/

NARRATOR Odtąd wszystko wróciło do dawnego... tylko zaczęła zjawiać się panna Zofia. Panna Zofia przychodziła rano, wesoło mówiła:

ZOFIA Dzień dobry.

NARRATOR Zaraz przebierała się w biały fartuch i od razu robiła się z panny Zofii - pielęgniarką. Zaczynały się codzienne obrzędy: prześcielanie łóżka, nacieranie, mycie, czesanie, sprzątanie.

ZOFIA Jak to przy chorej...

/Panna Zofia była młoda i śliczna. Różowe policzki z dwoma dołeczkami. Po schodach nie chodziła, a wbiegała po dwa stopnie. Miała cudowny uśmiech i bardzo wdzięczną figurę/

NARRATOR Więc Sabina zrobiła się chorą... Leżała w świeżej pościeli i z wysokości drewnianego łoża próbowała egzekwować należne "chorej" przywileje.

SABINA Skąd się tu bierze tyle nowych rzeczy?

ZOFIA Rzeczywiście, wczoraj uprzątałam, a dzisiaj znowu pełno!

SABINA Bo co kto przyniesie z kuchni, to zostawi. Szklanka, łyżeczka, spodek, talerzyk...

/Sabinie odpowiada niezmiennie uśmiech panny Zofii, która fruwając po pokoju rozwiązuje najbardziej drażliwe problemy z pogodą i entuzjazmem/

ZOFIA ... nic nie szkodzi, zaraz się uprzątnie i wszystko będzie dobrze. Podłożyć wałek?

SABINA Proszę podłożyć, tylko nie tak wysoko, jak wczoraj.

ZOFIA ... był za wysoko?

/Do pokoju wchodzi służąca Stasia. Panna Zofia wskazuje palcem na stolik, wydaje dyspozycję/

Proszę to zabrać, a to zostawić... to niech stoi, tak będzie wygodniej dla chorej...

/We wcześniejszym okresie choroby, Sabina opuszczała cza-

czasami łożko i siedząc na fotelu w starym zniszczonym szlafroku Heleny, obserwowała jak pannie Zofii "robota pali się w rękach"/

SABINA Czy pani Kowalska ciągle ma jeszcze podniesioną temperaturę?

ZOFIA Wczoraj było trzydzieści osiem i siedem... ale to nic, doktor powiedział, że to musi potrwać.

SABINA A pani Krajewska, czy będzie miała operację?

ZOFIA E, chyba nie. Mam nadzieję, że się obejdzie bez operacji.

SABINA A mnie powiedział, że już by mi nic nie pomogło.

ZOFIA Oni zawsze tak mówią, bo żałują, że im się nie udało człowieka pokrajać. Który chirurg nie chciałby operacji? Tak samo było z tą panią... no, nazwiska nie pamiętam... tą z Siennej. Trzy miesiące byłam przy niej...

SABINA /nie opuszcza teraz wzroku z pielęgniarki, łowi każdy jej gest, każdy podtekst/... no i co?

ZOFIA /jakby zawahała się, przez moment, ale trwa to zaledwie ułamek sekundy, bo za chwilę odpowiada beztrosko, z uśmiechem/ Zdrowiuteńka chodzi.

NARRATOR I Sabina słucha, jakby piła wodę życia. O określonej godzinie pielęgniarka zdejmuję fartuch, wdziewa beżowy płaszczyk. Przed lustrem wyciąga loki spod beretu i robi się panną Zofią...

ZOFIA Do widzenia pani Sabino, do jutra...

NARRATOR ... i wychodzi na ulicę, gdzie są ludzie, sklepy, tramwaje. A chora zostaje i robi się z niej znowu Sabina,

ale taka, która już nie należy ani do jadalnego pokoju,
ani do chorych, ani do panny Zofii...

SABINA /leży w świeżej sztywnej pościeli. Podciąga się niecierpliwie na poduszce. Mówi nagle głośno/... tak nie może być. Trzeba coś wymyślić, jakoś się zorganizować na ten czas... na t e n c z a s...

/Halinka i Marysia siedzą w jadalnym pokoju. Marysia poukładała na stole sterty flaszek, karbowanych recept. Halinka trzyma w ręce nie do końca wyciśniętą tubkę togalu. Wyciska z niej resztki na dłoń/

HALINKA Widzisz Marysiu, w tubce z togalem siedzi obrzydliwa, stara stonoga... trzeba ją stamtąd wyciągnąć...

/Wyciska na dłoń togal, ale Marysia usiłuje wyrwać jej tubę z ręki. Szarpanina. Piski. Wrzaski. Wchodzi Helena/

MARYSIA Mamo, mamo, niech mama nie pozwoli jej męczyć stonogi. Stonoga nie ma czym oddychać, udusi się...

/Helena jest zmęczona. Choroba trwa już przecież tak długo. Helena staje się niecierpliwa, podenerwowana. Wybuchu/

HELENA Czy naprawdę mało tego wszystkiego? Jeszcze muszę zajmować się stonogami i tubkami po togalu? Gdzie się ruszyć wszędzie ich pełno... Najlepiej niech Stasia pozbiera i powyrzuca te wszystkie tubki i flaszeczki! Niech raz wreszcie będzie spokój!

HALINKA Mamo, na piątą muszę iść do apteki po lekarstwo dla cioci Sabiny.

HELENA Niech pójdzie Stasia. Stasasiu!... Nie możesz przecież ciągle latać do apteki i po wszystko. Już mi zwracano w szkole uwagę, że się opuszczasz... musisz doganiać...

/Wchodzi służąca Stasia/

... Niech Stasia weźmie te recepty i pójdzie do apteki.

/podaje Stasi recepty. Stasia spogląda na Helenę wymownie, ale nie odzywa się jednym słowem. Wychodzi/

HALINKA Mamo, za tydzień będzie u nas wieczorek... Na pierwszy, w świetlicy, na samym początku roku, nie poszłam, na drugi, w kółku, też mnie mama nie puściła, bo nie miałam odpowiedniej sukni... inne dziewczynki...

/Sabina leży w łóżku. Chciwie łowi każdy szelest, każdy odgłos życia z tych innych, "zdrowych" pokoi. Uderza łyżeczką w syfon. Do pokoju wbiega Helena/

HELENA /skwapliwie pyta/ Dzwoniłeś kochanie? Boże, Karol zapomniał znowu o tym dzwonku, ale już jutro...

SABINA Moje drogie, zdaje się, że macie kłopot z suknią na ten czwartkowy wieczorek. Otwórzcie żółtą szafę, wyjmijcie moją krepdeszynową, może się jeszcze da coś z niej zrobić...

/Helena zawahała się. Ale duża, żółta, bogato rzeźbiona szafa kusi. Do pokoju wsuwa się nieśmiało Halinka. Słyszała ostatnie słowa. Helena podchodzi do szafy. Otwiera szerokie drzwi. Szafa jest napęczniała sukniami Sabiny. Ręce Heleny przerzucają suknie. Przed jej oczami przesuwają się suknie Sabiny, jak różnobarwne motyle. Halinka stoi obok z szeroko rozwartymi oczami. Nie wiedziała do tej pory, że ta szafa kryje takie skarby. Po małej chwili szewiotowy łokieć Halinki opływa różowo-złotawą połyskliwością jedwabiu. Halinka piszczy z zachwyty/

HALINKA Ach, jaka piękna suknia, mamo, jaka piękna suknia...

/Nagle Helena wyjmuję z rąk Halinki suknię. Halinka wypuszcza ją niechętnie, Helena zaś zatrzymując suknię w rękach, siada na łóżku. Jedwab spływa miękko na białą pościel. Wychudłe ręce Sabiny dotykają delikatnie materiału/

HELENA no cóż, suknia piękna, nosiłaś ją bardzo rzadko. ... W Murszewicach i tu, zdaje się, byłaś na koncercie... tylko, że moim zdaniem szkoda jej krajać i przerabiać... jeszcze ci się przyda...

SABINA Nie przyda się, nie przyda, choćbym nie wiem jak była zdrowa... zresztą ona i tak już była za ciasna...

NARRATOR Westchnienie ulgi. Była za ciasna... I od razu zaczyna się przymierzanie. Tu podnieść, tam opuścić, tu skrócić, tu dodać... na skrawku pokoju chorej zakwita czarodziejstwo nowej sukni... Halinka w jedwabnym połysku ma już cały świat pod nogami... Zaraz, Sabino, gdzież to i kiedy zdawało ci się tak samo, a potem okazało się...

/Sabina zamyśla się. Myśli jej uleciały gdzieś daleko za ten pokój/

HELENA Zmęczona jesteś, Sabino?

SABINA Pamiętasz jakie suknie miałyśmy na balu w Towarzystwie Rolniczym? Ja byłam w białej, a ty miałaś podobną do tej.

HELENA Nie, nie... tamta była bardziej różowa, wtedy nie było jeszcze takiego koloru "beż". I miała ażurowy "karczek". Twoja też była z "karczkiem". Nie wiem czemu wtedy zawsze musiały być te "karczki", pamiętasz?

/Helena śmieje się beztrudno i pogodnie. Ale Sabina spoważniała, jakby uderzona jakąś myślą, ważną ponad wszystko/

NARRATOR Sabina zatęskniła do tego, żeby już wyszły. Przecież ona musi sobie przemyśleć życie - po sukniach. I musi zacząć od samego początku... nie może tak od tej białej z "karczkiem"... ta biała była nieważna, a ona przecież musi wybierać te najważniejsze... Jak ta różowa, z wesela Heleny...

/Sabina przymyka oczy. Uduje nagłe znużenie. Helena z Halinką wychodzą na palcach, z suknią przewieszoną przez ramię uszczęśliwionej Halinki. Sabina zostaje sama. Otwiera oczy/

NARRATOR ... spójrz Sabino jak przez odwróconą lornetkę w najdalszą głęb twego dzieciństwa. Na siebie samą, na małą, chudą, czarną i nerwową... to skaczącą, jak wróbel, wierzącą się, szalejącą nad byle czym z zachwyty, to znowu tonącą w rozpacz, że co?

SABINA /unosí się na poduszce/ Bo ta nowa sukienka w różowy rzucik była jakaś dziwna, nie taka jak u innych dzieci... przydługa... a tak się cieszyłam z tej sukni...

NARRATOR A może się myliłaś, Sabino? Może ta sukienka j e s t taka jak u innych?

SABINA Właśnie. Może nikt nie zauważył tej niby obszewki, czy też kołnierzyka, który nie jest ani wysoki, ani niski, tylko taki właśnie do połowy szyi - cienkiej jak u ptaka... I może uda się nieznacznie skrócić tę sukienkę, wciągając ją za pasek... że to niby taka wyrzucona?... ale czy na to pozwoli mama? Czy nie powie zgryźliwie...

/Obrazy retrospekcji utrzymane w konwencji poetyckiej, a zatem nie dosłownie. Niektóre jakby niepełne, z zamazanym konturem. Fragmentaryczne. Czasami jakiś szczegół, detal, rekwizyt wybija się na pierwszy plan. Słowem jest to "świat drugiej Sabiny", tamtej spoza jej "chorego pokoju". Świat, w którym obowiązują inne reguły, w którym

czas nie odgrywa roli - można go swobodnie zatrzymywać, przyspieszać, wybiegać bez najmniejszego trudu w najdalszą przeszłość. Wszelkie opisy dosłowne tego "wewnętrznego świata Sabiny" należy traktować jako sygnały wywoławcze dla stworzenia w obrazie określonej poetyki, kontrastującej z dosłownością i autentyzmem obecnego "świata" Sabiny w mieszkaniu Heleny/

MATKA Cóż to, chcesz koniecznie mieć gołe kolana?

NARRATOR A ty, Sabino, w nowej sukience w "różowy rzucik" wciąż byłeś niepewna...

SABINA /znów unosi się na poduszce/ Pamiętam... pobiegłam do kuchni, do Modestowej, chciałam zobaczyć, co ona powie o tej sukni...

/Kuchnia jest gorąca, senna i zadymiona. Modestowa siedzi na ławie za stołem, w chustce nasuniętej na czoło, z rękami na wielkim brzuchu. Bezczynna, ogromna, wspaniała. Obok niej siedzi Ostap. Skubie kurczęta. W powietrzu pełno pierza/

MODESTOWA ... przyszła do nas panna, nasza panna, nasza Sabińcia kochana. Wystrojona, w nowej sukni. Pięknie...

OSTAP Pewnie, że pięknie. A co? Nasza panna ma chodzić niepięknie?

SABINA /z wysokości swojego łóżka uśmiecha się do Ostapa i Modestowej. Nagle marszczy czoło. Coś jej się przypomniało/... Boże, co to?

NARRATOR To ciotka Bronisława mówi do twojej matki, Sabino.

CIOTKA ... do czego to podobne, żeby Sabina nie miała ani jednej sukienki jak inne dziewczynki, tylko zawsze Bóg wie co?

MATKA Jak jest czysto i cało, to o co chodzi? Chcę wychować Sabinę na rozsądną kobietę, wyższą ponad "to".

SABINA Ale pamiętam, kupiłaś mi mamę tę czerwoną sukienkę... pamiętasz, czerwoną w rozczapierzone czarne liście. Była krótka, bo na szczęście nie starczyło materiału. Do tego złote pantofle i złoty pasek od ciotki Bronisławy...w tej sukience jechałyśmy z ciotką Bronisławą do Podhorzec - tam były lody, huśtawka... siedziałam na kozle, a konie niosły nas w tumanach kurzu... Których to wakacji było? Już nie pamiętasz, mamę...

MATKA Tych samych, kiedy szkocka sukienka szyła się u ciotki Bronisławy. Widzisz córeczko, ciotka nie brała za robotę od rodziny, ale dawała najgorszej pannie do szycia, bo lepsze zajęte były lepszą robotą... dlatego trwało to tygodniami i wychodziło krzywe...

SABINA ... ale szkocka sukienka wyszła dobrze. Była krótka i modna.

NARRATOR No i widzisz, Sabino. Dotąd wszystko poszło dobrze. Nawet bardzo dobrze.

/Sabina leży z zamkniętymi oczami. Jakby chciała zatrzymać widziane przed chwilą obrazy. Stróż po raz setny idzie otwierać bramę spóźnionym lokatorom. Z bramy dochodzą jakieś rozmowy/

SABINA /Otwiera oczy. Poprawia się na poduszce/ Ciekawe jak teraz będzie z sukniami młodości... zabawne jest o nich myśleć. Sztywne męskie kołnierzyki, wysokie jak mankiety, poważne długie rękawy... Ale późniejsze, te czterdziesto-pięcioletnie miały głębokie dekolty i obnażone ramiona. Za wszystkie czasy, za wszystkie czasy... za wszystkie czasy... /śmieje się/

NARRATOR Nie przeskakuj, Sabino. Trzeba przejść wszystko porządnie i systematycznie.

SABINA Ostatecznie, czy ktoś zabroni mi myśleć tak, jak mi się podoba? Stąpać po sukniach mojego życia, to tu, to tam i z powrotem...

NARRATOR Nie. Na pewno nikt ci nie zabroni. Ale jeżeli swobodnie wędrujesz po tych sukniach, to zabierz się do tej różowej, przerobionej z wesela Heleny... przecież pamiętasz ją doskonale.

SABINA /zapiera się na poduszkach. Wydaje głośny okrzyk, jakby zobaczyła upiora/ Nie, och nie... na różową jeszcze czas. Teraz jeszcze nie... /odwraca się twarzą do poduszki. Leży chwilę w bezruchu chcąc ukryć twarz w miękkości jaśka/

NARRATOR ... uspokój się, Sabino. Przecież jesteś mądra. Przecież potrafisz sobie dać radę ze wspomnieniami. Nie z takimi rzeczami będziesz niedługo musiała dawać sobie radę.

SABINA /odwraca twarz od poduszki. Uspokaja się/... więc zaraz, o czym to było? Acha, ostatnia szkocka sukienka z pracowni ciotki... jak to było dalej?... potem była ta "migdałowa" z białym przodem, przerobiona z ciotki Teresy, albo ta "jasna" z czerwonym krawatem... Tak, ale w różowej sukni to ja naprawdę byłam jeszcze mała, a działało się ze mną tak, jakbym była duża.

NARRATOR A więc zatrzymujemy się, Sabino, w porcie różowej sukni i trzeba będzie w nim zatrzymać się dłużej...

SABINA Jeszcze nie... jeszcze nie...

NARRATOR Ułóż się wygodnie, Sabino. Najlepiej na wznak, bo leżenie na boku dobre jest na krótko, a jak ma być dłużej,

to najlepiej na wznak. Ręce uciszone i spokojne... o tak. Trzeba spleść i złożyć w tym miejscu gdzie się kończą żebra. I dopiero trzeba się zabrać do myślenia... trzeba spojrzeć z góry, jak w czarną wodę portu i zobaczyć wszystko, jak było naprawdę...

/Studencki bal dawnego typu. Gorąco. Ścisk. Szczęście. Radość. Gwar. Bufet. Parówki z musztardą na porcje. Walce Straussa. Tańczą pary. Młode, roześmiane twarze. Sabina w środku tańczących par. Ubrana w śliczną różową sukienkę. Koło niej, przed nią, przelatuje korowód rozbawionej młodzieży/

NARRATOR ... wcale nie widać, Sabino, że twoja różowa sukienka jest przerobiona z wesela Heleny. Gipiuirowy "karczek", naturalnie wysoki kołnierzyk, długie rękawy...

SABINA /uśmiecha się/ A pasek, jaki był pasek?

NARRATOR Pasek był też różowy, jedwabny, z kokardą na boku.

/Przez tłumy tańczących przepycha się młody, ładny chłopak. Jest to Jan. Podchodzi do Sabiny, prosi ją do tańca. Zaczyna się szalony taniec. Jan z Sabina wirują w powietrzu/

NARRATOR Ach, jakie miałas powodzenie, Sabino! Jakie powodzenie! I czy to od tego korowodu, czy dlatego, że właśnie tańczyłaś z Janem, byłaś prawie ładna...

/Twarz Sabiny leżącej na łożku/

NARRATOR ... może zupełnie ładna.

/Sabina z Janem w tańcu/

JAN /szepce Sabinie do ucha/ Pani jest cudowna.

/Wirują nieprzerwanie. Jan mówi bez przerwy, ale nie słyszemy słów. Zlewają się z muzyką. Sabina leżąc na łóżku usiłuje sobie przypomnieć, co Jan mówił. Zakrywa twarz ręką/

SABINA Jan mówił, co Jan mówił... nie, tak się do niczego nie dojdzie. Mniejsza z tym co Jan mówił. /z sarkazmem/
Chyba dość życia zeszło na tym, co Jan mówił...

NARRATOR ... Więc dobrze. To się wszystko przeskoczy. I już różowa suknia z "karczkiem" wisi na poręczy krzesła, cała pachnąca Janem...

/Twarz Jana idącego w tłumie tańczących. Jest sam - bez Sabiny. Idzie, jakby kogoś wypatrywał w tłumie. Pary zasłaniają go, osłaniają. Nagle Jan zatrzymuje się. Znalazł. Uśmiecha się.

Sabina leżąc na łóżku patrzy w twarz Jana. Jan dalej uśmiecha się, ale po chwili w miejsce Jana zjawia się Matka Sabiny/

MATKA Rzeczywiście bardzo ładnie dziś wyglądałaś, Sabino...

SABINA /robi gest, jakby chciała zatrzymać matkę/ Naprawdę, mam... nawet tobie podobam się w tej różowej sukni, przerobionej z wesela Heleny?... No, no...

/Matka uśmiecha się swoim dobrym uśmiechem i wtapia się w mrok/

SABINA /Zamyśla się. Podciąga kołdrę/ Co się dalej stało z tą różową suknią? Czy się ją przerobiło, czy nosiło "na letnią", czy wisiła w szafie, aż ostatecznie wyszła z mody?...

NARRATOR To nie ważne... port nad czarną wodą, Sabino, był na pewno portem "różowej sukni"... bo tym samym co ona

- zapachem Jana, pachniały wszystkie twoje następne suknie, Sabino... i ta niebieska fioletowa i wełniana granatowa w zieloną kratkę...

SABINA A może by należało przemyśleć osobno letnie i osobno zimowe?

NARRATOR Absurd. Przecież żyło się kolejno zimą i latem...

SABINA ... więc tak, to prawda, wszystkie następne suknie pachniały Janem, i wszystkie następne miały kolor Jana... i tygodniami nie jadło się i nie spało, bo Jan... i zamierało się z mdłego niepokoju, że Jan nie przyjdzie o piątej, i zamierało się ze zgrozy i szczęścia, że Jan przyjechał o piątej. Wszędzie był Jan, ciągle Jan, tylko Jan... Suknie się zmieniały: zielona, aksamitna z białymi mankietami, popielata z czarno-białym krawatem. Brązowa z kremowym kołnierzykiem i taka jaśniejsza, kawowa ze szlakiem... Jakże to się stało, jak do tego doszło, że w ubarwione Janem dni zaczęło się wkładać coś, co się również obracało wokół Jana, a nie było szczęściem? I w którym z nich zjawilo się coś niesłychanie małego, zrazu niedostrzegalnego, aż zdeklarowało się na wyraźny niepokój? Może przy tej granatowej, również zapinanej na plecach, czekających, zdziwionych, że nikt ich nie całuje, tej samej, przy której okazało się, że mogę ją doskonale "sama zapiąć", albo przy tej brązowej z granatowymi rękawami, przy której okazało się, że się nie przeziębicie i że "w ogóle nic mi nie będzie"... Tak powiedział Jan w przedsionku jakiejś sali, gdzie było tak zimno i gdzie oczy Jana błękały się takie roztertargnione i wypatrujące czegoś ponad piękną, brązową suknią z gazowymi rękawami... A może to się zaczęło przy tej etaminowej w kwiaty? Była kolorowa, wesoła jak lato, a zrobiło mi się w niej zimno, jak w listopadzie, kiedy moje "brunatne", jak Jan je nazywał, oczy ujrzały w nim nie swojego Jana, tylko kogoś obcego... Ale do tej granatowej, zapinanej na plecach, trzeba będzie jeszcze powrócić...

/Sabina z Alicją na spacerze. Jest słoneczny, upalny dzień. Na placyku przed słoneczną ścianą rozsiadły się rozłożyste wózki/

ALICJA Na tych głupich parę miesięcy nie warto nic sprawiać. Musisz przerobić tę granatową. Masz tam kawałki w szufladzie, rozszerzysz nimi boki, dokupisz trzy ćwierci "meteo-ru" w deseń, byle tło dobrać pod kolor... /wskazuje na wózki, stojące pod ścianą/ Jest z czego wybierać... ot masz właśnie takiego bachora, jak chcesz - taki właśnie, a nie inny będzie twój Kazimierz...

SABINA /zagląda nieznacznie do wózka. Patrzą na nią duże oczy półroczniaka/ Czyś ty oszalała? Mój Kazimierz będzie zupełnie inny...

ALICJA Jak każda matka myślisz, że jej dziecko będzie najładniejsze ze wszystkich... /śmieje się. Jest krzykliwa, nieco wulgarna. Świetnie ubrana. Zadbana. Ładna. Egoistka i próżna/

SABINA /z promiennej robi się ponura/ Czy ty nie możesz zrozumieć, że chory może wyzdrowieć bez operacji, każda rzecz, która ma się stać, może się nie stać, tylko ta jedna nie może się nie stać... ja nie mogę nie urodzić...

ALICJA No to co? Urodzisz. Nie ma z czego robić historii. Każdy człowiek, który idzie ulicą, jakoś się urodził...

SABINA /leżąc na łóżku uśmiecha się gorzko/... gdybym teraz mogła się tym uspokoić, że każdy człowiek, który idzie ulicą, musi także umrzeć, na pewno nie wygadawałabym tego wszystkiego... gdybym wiedziała, że jest jeszcze właśnie ta druga rzecz, która się nie może nie stać... chociaż wydaje mi się, że wiem.

/Sabina z Alicją idą chodnikiem/

ALICJA No więc jaki będzie ten twój Kazimierz? Geniusz?

SABINA Nie. Zwyczajny... i żeby był dobry i nie kłamał... żeby się co chwila nie zmieniał, żeby można było na niego liczyć.

ALICJA Bagatela... wiesz, ty masz wymagania.

/Kazimierz rusza się na poduszce. Usta wydał w podkówkę. Zapłakał. Rozkopał się z pieluszek. Niepokoi się coraz bardziej. Malutkie kolanka poruszają się coraz szybciej. Rozszlochał się w bezzębny płacz.

Jan za szybą szpitalną. Patrzy przez nią na Sabinę. Sabina w szpitalnym szlafroku, wydaje mu się szara i nijaka. Jan patrzy teraz na maleńki stwór, leżący na łóżku, rozkopujący się w pieluchach. Drobne, pomarszczone palce, zaciskają się kurczowo. Nieforemna głowa. Bezzębne usta. Jan z Sabina patrzą na siebie. Jan jest roztargniony, zaaferowany. Pokazuje Sabinie zegarek, znak, że musi odejść/

SABINA /krzyczy do Jana/ Janie, Janie... przyniosłeś mi tę popielatą suknię z plisowaną spódniczką? Granatowej przecież nie mogę włożyć, owinęłabym się nią dwa razy.

JAN Ach Boże, zapomniałem... trudno... włożysz tę granatową. Czy to nie wszystko jedno?

/W głosie Jana jest coś takiego, że Sabina przygasa i robi się jeszcze bardziej szara/

SABINA /leżąc na łóżku zaciska kurczowo ręce. Mówi nagle twardo i bezwzględnie/ I w tej chwili poczułam, że naprawdę jest mi wszystko jedno.

/Sabina ubrana w popielatą suknię "z wełenki" z szelkami. Kazimierz leży w bogatym wózku, połyskującym od nowości. Poszarzała Sabina w swojej niemodnej sukience, za ciężkiej

na upalne, słoneczne "miejskie lato", pcha przed sobą wózek. Wlecze się osłabiona, blada, nie opalona, wpatrzona w lakierowany wózek. Wlecze się ulicami rozgrzаныmi, rozprężonymi, zziądanymi od niedobrego, miejskiego słońca. Z trudem przepycha swego Kazimierza pomiędzy rozkopaną jezdnią, a kupą żółtego, wyrzuconego z jakiejś głębi piasku. Pomiędzy górą smołowanej kostki, a wałem z żelaznych rur/

O Boże... czy miasto jest zawsze takie okrutne dla tych, co nie mogą wyjechać? /Sabina z Łóżka ze wzruszeniem spogląda na Sabinę z wózkiem/ Kazimierz musi być na powietrzu... miniesz jeszcze cztery ulice, skręcisz w prawo, potem płacyk, jeszcze raz na prawo, potem czerwony, rozpalony słońcem gmach, potem kawałeczek w lewo i już... /Ale Sabina z wózkiem nie słyszy tego, co mówi Sabina z Łóżka. Pochylona nad wózkiem, wpatrzona w syna, mówi/ ... widzisz, synu, widzisz, gdyby tu była łąka i trawa i rzeka jak tam u nas, to bym ci powiedziała, żebyś nie spał tak ciągle i otworzył oczy i patrzył. A tak tutaj to nie warto... gdyby tu była tamta ścieżka nad rzeką, taka na szerokość tego wózka pojechalibyśmy tam pod topole, gdzie dawniej była huśtawka... /nagle zatrzymuje wózek/ O Boże, znowu coś nowego, zagrodzili chodnik, rozkopali, śpij synu, śpij... /spocona ręka, lepka od rozgrzanego metalu kierownicy przepycha wózek po jakimś wąskim przejściu z desek. Oto już plac bezbarwny od słońca. Uwijają się po nim ohydne, brudne papiery i śmieci gnane suchym wiatrem. Pędzi samochód. Klakson. Nie wiadomo w którą stronę skręci. Sabina wyrwa się z labiryntu. Pcha wózek dalej/... widzisz synu, widzisz, gdyby tu był konik, to bym ci powiedziała: otwórz oczy i patrz. Konik się pasie, zgina kolana, żeby dostać trawy... ale tu jest tylko samochód. /Z wysokości Łóżka uśmiecha się ta druga Sabina, schorowana, mądrzejsza i bardziej doświadczona/ Ach Sabino, Sabino... jakaś ty śmieszna... przecież twój Kazimierz będzie sto razy wolał samochód, niż twego konika "ze zgiętym kolankiem"...

/Na zlepionych od potu włosach słomkowy kapelusz czerwoną pręgą wbija się w czoło. Oczy już ledwie patrzą, nogi ledwie odrywają się od gorącego asfaltu, jakby przyrastały do niego podeszwy zakurzonych czarnych pantofli. Z przeciwka idzie młoda, ładna kobieta, prowadząca za rękę dwuletniego chłopca/ Idzie... idzie dzidzius. Za rok ty tak będziesz szedł. Mama kupi ci piłkę, zamiast tej wiecznej krowy z gumy.

NARRATOR Ale jaki będzie ten dzidzius? Czy granatowe niemowlęce oczy, mętne jak u szczeniaka, zdeklarują się na takie niebieskie, jak u Jana? Czy będą tak samo uważnie patrzyły, i czy ta "uważność" tak samo nie będzie miała nic znaczyć? Czy będą się nagle, bez żadnego przejścia, robiły roztargnione i czegoś wypatrujące? A może będą brunatne, jak twoje, Sabino?...

SABINA Matka mówiła, że moje były granatowe...

/W ulicznym tłumie, przez który przepycha się Sabina z wózkiem, idzie uczeń. Wyprostowany, sztywny. Tornister. Czapka. Twarz promienieje szczęściem/

Idzie, idzie uczeń, widzisz synu... w nowiutkiej czapce, pewnie zdał egzamin... a ty co... leżysz w wózku i nic nie rozumiesz. Za dziesięć lat i ty będziesz miał taką czapkę... /w Łóżku zajęta swoimi myślami mówi niecierpliwie/... za dziesięć lat on będzie tylko tyle rozumiał, żeby "anglasy" wymienić na album do marek, żeby kopać piłkę, wygładzać cynfolię z czekoladek, a ty w swojej czarnej sukni będziesz się wlokła do dyrektora wybłagiwać zwolnienia od wpisu i do wychowawcy wybłagiwać trójki i ciężiej ci będzie niż teraz z wózkiem...

/Sabina z wózkiem podnosi głowę. Z przeciwka w tłumie idzie Harcerz. Szerokie rondo kapelusza, obwieszony sprawnościami/

Idzie harcerz... kolorowy jak lala... ma sprawności wyszyte na rękawie. A ty synu jakie będziesz miał sprawności? Będziesz pływał, jeździł na rowerze, motocyklem? /Sabina w łóżku śmieje się jak w teatrze/... wiem jak to było z tymi sprawnościami... na rower... na pływanie, na motocykl, na wszystko trzeba było pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy...

NARRATOR ...Sabino, syn też chce żyć, i jeszcze jak... a ty byś nie chciała?... Tylko, że albo nie mogłaś, albo kiedy mogłaś, to ci przeszkadzały matczyne gorzkie strachy... że co ci wszyscy powiedzą?... No, już teraz to przynajmniej możesz być spokojna, że nic nie powiedzą.

/A Sabina nieprzerwanie pcha swój wózek. Dochodzi do zakrętu. Znowu podnosi głowę, bo z przeciwka idzie żołnierz/

SABINA Idzie żołnierz... ale ty, synku, nie będziesz żołnierzem. Ty nie będziesz zabijał ludzi, nigdy, prawda? /Sabina z łóżka krzyczy z wyrzutem/ A po co kupowałaś mu papierowych żołnierzy i sama naklejałaś na tekturę, żeby sztywno stali? A ten idiotyczny kask na głowę? I szablę i armatę do grochu, obrzydliwą jakąś twierdzę malowaną w czerwone cegły?... Bo chciał, bo kładł się na podłogę i bił piętami, jak nie dałaś! Ano widzisz, to oni wszyscy tak, to ich wszystkich w tym się chowa, a potem dziwny się, że zabijają!

/Sabina pcha swój wózek. Podnosi zmęczone oczy. Z przeciwka idzie wytworny młody pan. Obojętne, obce spojrzenie. Mija nie Sabinę, ale matkę z dzieckiem. Przeszedł. Sabina jest już u celu. Parkan. Drzewa. Furtka. Na rogu postój dorożek. Sabina oddycha głęboko. Resztkami sił pcha wózek do wiadomej ławki. Ławka zajęta. Sabina rozgląda się z rozpaczą. Nagle zauważa jedno wolne miejsce. Siada wśród dzieciątek wózków i nianiek. Siedzi zmęczona, pusta, obojętna/

NARRATOR ... Sabino, czujesz jak zapachniało heliotropem z pobliskiej grzędy?... A teraz powiało młodymi liśćmi topoli... Sabino, jesteś jeszcze młoda... wszystko masz przed sobą!

/W wózku krzywią się małe, niezadowolone usta. Zaraz się rozedrą. Zaniosą od bezzębnego wrzasku. Sabina sięga pod materacyk wózka. Wyciąga stamtąd flaszkę owiniętą w barchanową pieluchę, żeby mleko nie wystygło. Sabina rozwija pieluchę. Uśmiecha się/

NARRATOR ... no i nie wystygło. Więc jednak i tobie, Sabino, przydało się na coś lato... nie wystygło. A w zimie bez termosy ani rusz...

SABINA /podnosi głowę do góry. Mówi prosto przed siebie, jakby chciała usłyszeć odpowiedź od całego świata/ Czy można w jednej i tej samej czarnej sukni odrobić tyle życia? /leżąca na łóżku unosi się na poduszkach/

NARRATOR ... przypatrz się sama sobie, Sabino, ale nie tymi dzisiejszymi oczami, z wyżyn swego ostatniego łóżka, tylko tak, jak zobaczyłaś siebie wtedy, idąc przez most w wietrzny dzień, zasypujący oczy kurzem i piaskiem...

SABINA /w czarnej sukni na moście. Wiatr. Pochmurne burzliwe niebo. Na głowie filcowy kapelusz z obnoszonym wyleniałym piórem. Końce czarnych bucików wyzierają z brzegu obszytej "szczotką" sukni. Mówi z pasją/... bo chciałam wziąć na siebie wszystkie obmierzłe tróski całego świata, aby usprawiedliwić w nich swoje własne... Wszystkie nie zapłacone komorne, zaległe raty, powiększone gruczoły, trzydzieści siedem i trzy pod pachą wiecznie chorego dziecka... wszystkich stale nieobecnych Janów, wiecznie tkwiących na tajemniczych, nieuchwytnych konferencjach i ani jednego człowieka na świecie, którego by można być pewnym, że się nie zmienił od wczoraj, albo że się nie zmieni od jutra...

I zobaczyłam siebie samą, i zrozumiałam, że jeszcze trochę rozważań, jak to właściwie jest z tym Janem, tych nocnych konstruowań rzeczy, które poranek znów rozdziera w szmaty i tych "ostatecznych", tych "zasadniczych" rozmów, które i tak przecież niczego nie wyjaśniają, jeszcze trochę tego wszystkiego a...

NARRATOR A z Sabiny zostanie marny szczątek. Tak to zobaczyłaś i resztkami sił postanowiłaś się zmienić, zaraz od dzisiaj, od tej chwili, na moście...

/Sabina odchodzi w tumanach kurzu w perspektywę mostu/

NARRATOR Po prostu zaśmiałaś się w pracowni Tomasza swoim dawnym, przywróconym nagle do życia śmiechem.

/Sabina siedzi w głębokim fotelu na środku pracowni Tomasza, wśród obrazów, sztalug, ram, rulonów. W głębi okno z panoramą dachów. Mury mansardy grube jak w średniowiecznym klasztorze. Tomasz jest ciężki, niezdarny, niedźwiedziowaty. Szlachetny profil. Trochę abnegat. Tomasz kłęcząc u stóp Sabiny, całując brzeg odwiecznej czarnej sukni, mówi z troską/

TOMASZ ... jakie musi być życie, które nawet takiemu stworzeniu odejmuje wszystkie radości?

/Sabina wybucha śmiechem. I nagle świat robi się radosny. Wszystkie obrazy z pracowni Tomasza zawirowały i świat zrobił się piękny/

NARRATOR I twoja czarna suknia przestała być ważna, gdzieś się rozpułnęła...

SABINA /z łóżka pyta nagle z niepokojem/ A co się właściwie z nią stało? Czy po długim życiu nie przeistoczyła się w kurtkę Kazimierza do ślizgawki? Przecież była mocna jak skóra...

NARRATOR Mniejsza o nią...

SABINA Ale czy człowiek może tyle życia przewalić w jednej czarnej sukni?

NARRATOR Może...

/Pokój jadalny. Halinka w sukni przerobionej z sukni Sabiny. Wokół niej grono kolegów i koleżanek ubranych na zabawę. Śmiechy. Piski. Helena uśmiechnięta, szczęśliwa, przejęta/

HELENA No, idź teraz, pokaż się cioci...

MARYSIA /Grubiutka, podchwytuje piskliwie/... idź pokaż się cioci, pokaż się cioci...

/Pchnięte na oścież drzwi do pokoju Sabiny buchają światłem i przedsmakiem zabawy. Za wystrojoną, świeżo "zaondulowaną" i strojnie połyskującą w pięknej ciotczynej sukni Halinką sunie cały orszak. "Rozczerwienione" emocją buziaki koleżanek i kolegów Halinki. Stasia. Zmieszany Karol i Helena. Helena mówi szybko, zaferowana/

HELENA ... czy można zapalić światło, bo tak to nic nie wiadać?

/Twarz Sabiny leżącej w łóżku rozjaśnia blask górnej lampy. Od poduszki spoglądają w stronę zatłoczonych drzwi wyrwane z marzeń oczy. Oczy te patrzą, jakby piły... Wszystkim nagle robi się nieswojo. Czerwone młodością twarze kolegów nieruchomieją. Karol wciąga po swojemu powietrze. Chwila ciszy, Halinka jedna kryguje się przed łóżkiem/

SABINA /mówi nagle wesoło i pogodnie/ Ślicznie wyglądasz... bardzo się cieszę, baw się dobrze, kochanie...

/Ulga. Wszyscy rzucają się do palt. Przedpokój puchnie od gwarne go "przebierania się", od szukania butów, czapek, płaszczy. Całe towarzystwo wywala się na schody. Gadania. Dowcipy. Kawały. Śmiechy. W zgiełku, jak w kuligowym orszaku, odpływa w dół po schodach ostatnia, piękna krepdeszynowa suknia Sabiny.

W ścisłym i opustoszałym pokoju jadalnym Karol siedzi przy stole. Trzyma szklankę herbaty. Zziębnięty. Herbata jest gorąca. Parzy go w ręce. Karol mówi do Heleny zakatarzonym, nosowym głosem/

KAROL Nareszcie może człowiek spokojnie, po ludzku napić się herbaty...

HELENA /jest przygnębiona. Zmęczona mówi monotonnym, bezbarwnym głosem/ Marysiu... Proszę się umyć i do łóżka...

/Stasia bierze za rękę Marysię, która próbuje się opierać, Helena wchodzi do pokoju Sabiny. Panuje tu półmrok, tylko mała lampka przy łóżku chorej sączy skąpe światło/

HELENA Sabino, kochanie, czy nie potrzebujesz czego?

SABINA /odpowiada skwapliwie, usiłując ukryć wzmagające się bóle/ Owszem, chciałabym... może byś mogła zrobić mi zastrzyk. Wiesz... tamten...

/Helena milczy. Patrzą na siebie. Obie wiedzą, że będzie niedobra noc/

/W ciemnym korytarzu, przy drzwiach, stoi Helena z doktorem Rozen cwajgiem. Doktor w płaszczu. W ręku lekarski neseser. Okulary. Melonik. Mówią bardzo cicho/

DOKTOR Niestety, nie jest dobrze... zastrzyki mogą tylko łagodzić cierpienie, ale i one z czasem...

/Sabina unosi się na łokciu. Twarz wymęczona nieprzespaną nocą. Oczy zapadły głębiej. Nasłuchuje. Z korytarza dochodzi tłumiony szept. Niestety, Sabina nie może zrozumieć sensu słów. Wie tylko, że to głos Heleny i doktora Rozen cwajga. Nagle Sabina mówi niecierpliwie/

SABINA ... czy ta Helena nigdy nie przestanie szeptać w przedpokoju z doktorem Rozen cwajgiem?

NARRATOR Sabino, Sabino, dlaczego nie możesz znieść, żeby tak szeptano o tobie? Przecież zdawałoby się, że już teraz nic nowego nie wyszepta... więc właściwie o co chodzi?

/Trzasnęły drzwi wejściowe. Helena wsuwa się do pokoju. Jest pogodna i nawet jakby lekko uśmiechnięta. Całe napięcie wspartej na łokciu Sabiny opada. W oczach pytanie/

SABINA Pocziwy ten Rozen cwajg... przyszedł tak rano... inny by nie przyszedł, co?

HELENA /zaaferowana sprzątan iem. Przesławia coś na stoliku, który napęczniał gratami/ Skądże na miłość boską tyle się tego nabrało? Czy każdy jak cokolwiek przyniesie to już musi zostawić? Ten spodek widzę już trzeci dzień...

/W jadalnym Stasia nakrywa do śniadania, podśpiewując pod nosem rzewną melodię. Wchodzi Helena trzymając w ręce talerzyki i szklanki. Z łazienki dochodzą piski i krzyki dziewczynek. Helena drgnęła/

HELENA Co tam znowu?

STASIA Pewnie panienki chamrają się przy myciu...

HELENA To niech Stasia uspokoi panienki i powie, że w domu potrzebna jest cisza i spokój...

/Stasia wychodzi z pokoju, skradając się na palcach. Po chwili słychać jej głos i wzmagający się pisk dziewczynek/

SABINA ... kiedyż wreszcie się tu uspokoi, żeby można było spokojnie zabrać się do sukien... przecież dziś muszę przemyśleć je do końca...

/W drzwiach staje Helena. Oczy zmęczone, zaczerwienione od nieprzespanej nocy/

SABINA Helenko... nie idziesz do biura? Czy dlatego, że nie dałam ci spać w nocy...

HELENA Nie, kochanie. Szymański wrócił z urlopu, to teraz mogę brać robotę do domu, przynajmniej do wtorku...

SABINA /przytula policzek do jąśka. Wzdycha cicho/ Acha...

HELENA /przysiada na łóżku/ Może zaśnieś teraz...

SABINA Eee... chyba nie...

/Do pokoju wchodzi Marysia z szeleszczącymi rulonami papieru, nożyczkami i butelką gumy arabskiej. Mały grubas skrada się na palcach jak przystało w pokoju "chorej". Staje w nogach łóżka/

MARYSIA Ciociu... czy mogę u cioci powycinać te lalki, co dostałam wczoraj?

HELENA Ciocia jest zmęczona, musi odpocząć... idź do kuchni... Prześpij się Sabino, sen ci dobrze zrobi...

SABINA /jest trochę zniecierpliwiona. Próbuje to jednak ukryć/ Nie, nie, ja wcale nie chcę spać, niech sobie Marysia tu posiedzi przy mnie, póki nie przyjdzie panna Zofia...

HELENA Zapomniałaś Sabino, że panna Zofia ma być dzisiaj u chorej na Chmielnej?...

SABINA A tak... rzeczywiście zapomniałam... Heleno, idź do jadalnego, połóż się na kanapie, okryj się starym płaszczem Karola i odpocznij... Marysia może się tu bawić dokąd zechce...

HELENA /spoglądając Sabinie z wdzięcznością w oczy/ Dziękuję ci...

/Wychodzi. Sabina przymyka oczy. Marysia wgramoliła się na krzesło przy łóżku chorej z całym swoim warsztatem. Zaczyna wycinać nożyczkami wymalowane na rulonach figury/

SABINA /spod uchylonych powiek patrzy gdzieś przed siebie/ - /monolog wewnętrzny/ ... ciekawe, czy Helena nie zapomniała wziąć z przedpokoju starego palta Karola, tego z wystającą watą...

/W tej właśnie chwili Helena trzyma w ręce stare palto z wystającą watą. Podchodzi do kanapy. Siada ciężko/

SABINA /monolog wewnętrzny/ ... jaka ta Helena musi być strasznie zmęczona, jakie dziś miała zaczerwienione oczy... nic dziwnego, taka noc...

NARRATOR Ale przecież siostra wyśpi się potem, kiedy to wszystko już się skończy... a ty teraz musisz przemyśleć swoje suknie do końca...

SABINA /monolog wewnętrzny/ ... zaraz, jaka to była ostatnia? Beżowa, krepdeszynowa? A co po niej?...

MARYSIA /zajęta do tej pory wycinaniem nie patrzyła na Sabinę. Teraz podnosi głowę/ Ciociu, ciociu, widzi ciocia, jaka ta lalka jest goła? A teraz wkładam beret, spódniczkę

plisowaną, o, bluzka marynarska, teczka do ręki i jest uczennica... widzi ciocia...

SABINA /patrzy na lalki niewidzącymi oczami. Odpowiada machinalnie/ Widzę...

MARYSIA A teraz będzie chłopka. Chusteczkę na głowę, fartuszek i już jest... widzi ciocia...

SABINA Widzę...

MARYSIA A teraz ślubna. Welon. Czy ciocia widziała, żeby kto się tak zmieniał?

SABINA Nie widziałam... a może i widziałam... na pewno widziałam... /I nagle w wyobraźni Sabiny ożywają wycinanki Marysi, przybierając dziesiątki wcieleń jej samej, Sabiny. Zaczyna mówić głośno, jakby w pokoju nikogo nie było poza nią i jej wspomnieniami/ W tym popielatym kostiumie czułam się tak, jakbym zdobywała świat... a w tamtej wiecznej czarnej byłam stara i nikt na mnie nie patrzył. Kiedy miałam trzydzieści lat uważałam, że jestem za stara na tę jasną z krótkimi rękawami - ale kiedy miałam czterdzieści pięć lat sądziłam, że już nic nie jest dla mnie za młode... W plisowanej spódnicy i starej bluzce byłam "domowa" i "przy mężu"... strach o obiad, o pierożki, o koszule... a w tej brązowej czułam się jak pani domu... I tak zawsze było. Włożyłam nową suknię i ktoś powiedział "Pani jest jak panienka"... i byłam młoda. "Pani już w latach" usłyszałam kiedyś o sobie i już byłam stara. Gdy przypięłam pomarańczowy kwiat do palta, cały świat położył mi się do stóp jak łąka... a kiedy szłam w tym starym, przerobionym palcie, to było tak, jakby brakło dla mnie miejsca na tym świecie...

/Marysia przestała wycinać lalki. Siedzi z rozdziawioną buzią i słucha/

SABINA Chodziły Sabiny w różnych sukniach, różnymi drogami. Młode. Stare. Wesołe. Smutne. Spotykały różnych ludzi, których droga prowadzi kawałek w tę samą stronę, idą razem i martwią się, kiedy tamci skręcają... a kiedy mogły by iść razem, same nagle skręcają w bok... w końcu jednak wszystkie Sabiny zlewają się w jedną... schodzącą z drugiego piętra doktora Rozencwajga w granatowej sukni z metalowymi guzikami, z białym kołnierzykiem i paskiem... /wtula głowę w poduszkę/

HELENA /pochyla się nad Sabina/ Sabino, kochanie, o co ty płaczesz? Daję ci słowo honoru, Rozencwajg nic takiego nie znalazł...

SABINA Ja... nie o to... ja nie... tylko po prostu myślałam o tej ostatniej mojej sukni, tej granatowej, wiesz?

/Studnia podwórza. Orkiestra podwórkowa gra. Śpiewak swoim zduszonym głosem śpiewa piosenkę. Zaczyna się od słów: "... ja nie byłem wart, byś ty mnie kochała, ja nie byłem wart, byś zapłakała..." itd./

/Noc. Sabina przewraca się na łóżku. Ma gorączkę. Szeroko rozwarte oczy/

SABINA Mamo, mam, czy ten kwiat na ścianie jest taki sam jak tamten kwiat?... Bo tu, mam, on jest inny... widzi mama? O, w tym miejscu jest inny...

/Nad Sabina pochyla się twarz Matki. Matka bierze ze stolika termometr/

... Mamo, na pewno nie mam gorączki... ja czuję, że nie mam.

/Matka trzyma termometr w rękach/

SABINA ... bo jeżeli będzie mniej niż trzydzieści siedem i pięć, to co mam? To pójdziemy w sobotę do parku i tam będzie Alicja, prawda mam? A jeżeli będzie tylko trzydzieści siedem i trzy to pójdziemy w piątek, prawda mam? ... A trzydzieści siedem i dwa to się liczy, że nic nie ma? Nie?... A dlaczego nie?...

/Matka nie mówi nic. Potrzęsa termometrem i patrzy łagodnie. W jadalnym pokoju na wąskiej kanapie Helena śpi twar-
do/

SABINA Mam, czy to wielki grzech wspominać w pacierzu psa razem z matką?

MATKA Że też ty zawsze musisz sobie coś wymyślić... Trzydzieści siedem i siedem. Śpij już... staraj się zasnąć, Sabino...

SABINA Mam... opowiadałaś nam kiedyś bajkę o jakiejś wróżce, która wpatrując się w szklaną kulę widziała w niej przyszłość... no to ja się teraz wpatruję w syfon... chyba to nic nie szkodzi, że syfon jest niebieski? Pamiętasz wieczory na rzece, w Łodzi... śpiewaliśmy:... "Oczy czornyje, oczy strastnyje..." - dlaczego ojciec nie dawał mi pływać "bajdakiem", a Helenie wszystko było wolno... że starsza?...

MATKA Staraj się zasnąć, Sabino...

SABINA Mam, dlaczego ja ciągle choruję, a Helena nigdy, mam, co? Dobrze nam było w tamtym mieszkaniu na Hożej... prawda? Mam?

/Ale matki już nie ma. Rozpłynęła się w mroku pokoju. Nagle rozlega się ostry syk. Płomienie/

SABINA Co to?

NARRATOR To twoje studenckie mieszkanie Sabino... zawsze było to samo. Na rogu stołu okrytego zielonym papierem huczał prymus.

SABINA /uśmiecha się. Mówi szeptem, jakby się zwierzała/
I to wszystko jedno w jakim pokoju... Czy na Sebastiana, czy Za Koleją, czy na Gołębiej... Z tym prymusem zawsze było jednakowo... nigdy się nie udało uchwycić chwili, kiedy należało przetknąć palnik specjalną igłą. Zawsze było za późno, albo za wcześnie... prymus zawsze znalazł pretekst, aby złapać sadzę...

/Pokój Sabiny u starej Radziszewskiej. Na rogu stołu huczy prymus. Na nim czajnik z wodą. Kolega Sabiny Baun majstruje przy prymusie/

BAUN Pragnę państwu zakomunikować, że prymus znowu szaleje. A więc na herbatę trzeba będzie poczekać.

JAN Obiecuję w imieniu tego prymusa, że mu to zaraz przejdzie.

/Koleżanki Sabiny: Rotberżanka i Kwiatkowska, wybuchają śmiechem. Sabina wpatrzona w Jana wtóruje im. Jan właśnie pochylił się do prymusa. Poprzez dłoń jego twarz wydaje się dziwna, niesamowita, ale Sabina nie może oderwać oczu od Jana. Jan przekłują drucikiem otwór. Podnosi się, mówi z emfazą/

JAN Proszę państwa... prymus przestał szaleć. /Szalony wybuch śmiechu/ Panie i Panowie. Jak widzicie, wszystko może być powodem do radości... i szczęścia. Poskromienie tego oto prymusa. Przytwierdzenie pluskiewkami bibułki do koślawego stołu tak, jak to zrobiła nasza droga gospodyni... Czy nie widzicie, jak dzięki tej bibułce zrobiło się miło i przytulnie? Wystarczyło na tych ohydnie malowanych ścianach umocować trochę świerkowych gałęzi, aby zapachniało lasem... ale dla nas największym szczęściem i radością jest - co?

Odpowiada mu chór głosów:

... chleb morawski pachnący wilgotnym żytem i serdelek przykryty świeżą, chrupiącą bułeczką...

/Znowu pokój zanosi się od śmiechu. Ktoś włączył gramofon. W pokoju jest gęsto od dymu, więc Jan otwiera okno/

ROTBERŻANKA ... zamknij okno, bo zimno.

JAN Poeta ujął by to tak: "od okna napływało powietrze świeże i wilgotne. Spod samego płotu, gdzie nikt nie chodzi, powiało jesienną zrudziałą trawą i naniosło szczęścia, jak mokrych liści, Sabinie do zabawy...

SABINA A w "Chimerze" ktoś napisał: "biały kwiat grusz na staw nafrunął bielą, na skrzek, na twardy liść okrągły padł grązełom...

JAN Jak on to ładnie wymyślił...

/Twarz Jana. Twarz Sabiny. Śmieją się. Gramofon gra/

/Twarz Sabiny leżącej na łóżku. Wpatruje się w mroki nocy/

/Ten sam pokój co poprzednio. Sabina z Janem siedzą na łóżku. Nagle Sabina wstaje. Poprawia rozrzucone w nieładzie włosy. Jan siedzi na krawędzi rozbebeszonego łóżka. Wzrok jego błądzi po suficie. Nie wie co zrobić z rękami. Głupia i niezręczna sytuacja. Nagle Sabina odwraca się od Jana/

SABINA Więc Janie, ja jestem teraz twoją kochanką?...

JAN /nie uśmiecha się. Siedzi jakiś zdziwiony i chłopięco nieporadny. Zmieszany/ Nie, czy ty naprawdę? /wstał, jakby chciał coś powiedzieć. Ale machnął ręką i rozmyślił się, roześmiał się młodym, szczeniackim, szczęśliwym śmiechem.

Idzie po chwili w stronę Sabiny "promienny i rozkochany"/

SABINA /w łóżku zamyśla się i po chwili mówi cicho i spokojnie/ A niedługo potem był tamten bal i różowa suknia, przerobiona z wesela Heleny...

NARRATOR Mijały długie dni i tygodnie, w których sprawa ulicy Kruczej zupełnie nie istniała, skończona już i nieważna. ... A teraz wystarczyło tylko wspomnieć to mieszkanie, żeby Sabina...

/Sabina poruszyła się niespokojnie w łóżku. Jakby chciała przerwać/

NARRATOR ... Sabino... czyżby żadne przeżyte rzeczy nie mijały, tylko leżały zwinięte jak sprężyny, czekając aż znowu nadejdzie ich pora?

SABINA Chyba już jest najwyższy czas, żeby nabrać rozumu, chyba już ostatni czas...

NARRATOR Dlaczego więc splatasz palce takim samym ruchem jak tam na Kruczej, czekając na Jana?

SABINA ... Chcę, chciałabym zrozumieć, że z powodu żadnego Jana, nie powinno się już załamywać rąk leżąc na łóżku, z którego... że takie załamywanie rąk dobre było wtedy, przed dwudziestu laty, tam na Kruczej przy wieczornym obzędzie czekania, ale nie teraz...

/Amfilada trzech pokoi na Kruczej. Widoczne w perspektywie drzwi. Sabina idzie w głębi/

SABINA A to czekanie odbywało się zawsze jednakowo... chodząc przez wszystkie trzy pokoje w amfiladzie i przedpokój, z postojem w ostatnim pokoju przy żółtej szafie... Drugi postój przypadał na pierwszy pokój przy oknie, skąd widać

wnękę bramy... trzeci postój u wejściowych drzwi w przedpokoju... Rytuał czekania na Jana był niezmienny: postać przy szafie... postać przy oknie... postać przy drzwiach...

NARRATOR Sabino, ale właściwie ta sprawa zaczyna się znacznie wcześniej, przed herbatą...

SABINA /w łóżku/ Ale wtedy do programu należało udawanie, że się nie czeka na Jana, a tylko tak zwyczajnie robi się wszystkie rzeczy... na przykład - podlewanie kwiatów... /podlewa kwiaty/... powoli, z rozmysłem lało się wodę z niewygodnego imbryka, z którego zawsze musiało się coś ulać na podłogę, żeby nie wiem jak uważać... patrzyło się jak wsiąka w ziemię... potem zasiadało się do poprawiania kajetów. I znów udawanie, że się wcale nie czeka na Jana. Na nic to wszystko. W jakiejś chwili zza drzwi kuchni padało nieuchronne pytanie.

/Przy stole stoi służąca Sabiny - Polcia. Pyta urażonym głosem/

POLCIA Czy ma się tak jeszcze czekać na pana, czy już w końcu podawać kolację?

SABINA /podnosi wzrok znad kajetów i odpowiada wesoło z "robioną dobrą miną" /... to już niech Polcia podaje. /pije herbatę/ W jakiejś chwili nie można już wytrzymać i odpada reszta udawania. Wszystko staje się jasne... serce bije powoli i mocno. Na schodach ustaje ruch. Przychodzi nieunikniony moment. Człapią bambosze - to stróż idzie zamykać bramę. Następuje inna faza czekania, ale już bez udawania... Już teraz nie ma mowy o przyjściu Jana "zwyczajnie", chodzi tylko o to, żeby się jak najmniej męczyć, jak najmożliwiej przeczekać czekanie... I kiedy wreszcie przychodzi wesoły, niemiłe zdziwiony...

JAN ... Boże, to ty jeszcze nie śpisz? Znowu na pewno się niepokoiłaś...? I właściwie o co?

SABINA /leżąc na łóżku/ Wtedy najważniejszą rzeczą było nawet nie spytać gdzie był... przecież i tak nie dowiedziałabym się prawdy, chyba przypadkiem, bo Jan był nieporządkowy i roztrągniony... /nagle ujmuje w chudą dłoń łyżeczkę i zaczyna uderzać w syfon. Do pokoju wbiega Helena/... Heleno, czy możesz mi zrobić zastrzyk?

/Matka Sabiny stoi w oknie, za firankami. Za oknem rozlega się łoskot kroków po bruku. Idą żołnierze śpiewając:"... Maruszka, moja Maruszka, pójdziesz ze mną spać do łóżka?!.../

MATKA /odwraca się. Mówi stroskanym głosem/ I dokąd oni tak zawsze idą? /idzie w głąb pokoju/

/Sabiny nie widzimy, słyszymy tylko jej zirytowany głos/

SABINA Tyle razy mówiłam mamie, że idą do koszar przez Zakroczymską.

MATKA Sabino, czy pamiętasz? Na dziewiątą masz być u dyrektora.

SABINA Pamiętam...

MATKA No to wstawaj, bo już po siódmej.

SABINA Wstaje...

/Mieszkanie jest stare i zniszczone. Podłoga z desek z szerokimi rozdziawionymi szparami. Firanki z dwoma amorkami na siatce. Kanapa z czarnego, rzeźbionego drzewa z wytłaczanym pluszem. Dwie szafy. Każda inna - jedna wysoka, druga niska, jedna staroświecka, druga nowa. Żalozna kozetka. Dwa kufry. Jakies kosze. Nieokreślone rzeczy porozrzucane po kątach, przykryte kawałkami starych portier i firanek. W drugim pokoju łóżko matki. Komoda. Dymiący piec. Ciężki fotel, przykryty ceratą, popękaną w drobną mozaikę.

Sabina grzeje przy kuchni karbówki do włosów. Matka krząta się przy kuchni/

MATKA Sabino, czy pamiętasz, że na dwunastą masz być na Mazowieckiej, a na drugą u tej pani? I Kazimierzowi trzeba zanieść koc do bursy, bo on tam marznie... i umówić się z dentystką... i do Jana, żeby zapłacił...

/Sabina milczy/

MATKA ... może dyrektor jakoś załatwi ci to podanie. Przecież tylu innych dostaje pracę... wszyscy się jakoś urządzają, tylko ty jedna...

/Poczekalnia bursy Kazimierza. Krzyk. Wrzask, rwetes. Poczekalnia zimna i obskurna. Sabina taszczy ogromny toboł, omotany sznurkiem. Kazimierz podchodzi do matki/

SABINA Czy tatuś był u ciebie? Czy zapłacił za internat?

KAZIMIERZ ... byłem znowu z tatusem w cukierni... obiecał mi kupić rower...

SABINA A jak ze stopniami?

KAZIMIERZ /śmieje się beztrąsko/ Z niemieckiego dwójka... z fizyki dwójka, z robót dwójka, ale to nic... tatuś mówi, żebym się nie martwił, że się poprawię na drugi kwartał... a rower już mam wybrany... tatuś powiedział mi nawet jakąś marki i z jakiej fabryki...

/W mrocznym pokoju, na swoim trzcinowym fotelu siedzi matka/

MATKA Zaświeć sobie lampkę w kuchni i odgrzej makaron. Mięso stoi w piecyku...

/Makaron skwierczy na czarnej patelni. Lampa zaczyna pełgać. Sabina wyszukuje po omacku talerze. Nakłada makaron. Niesie go do pokoju. Stawia na brzegu stołu. Stół jest zagracony nie wiadomo czym/

MATKA /mówi ze swego fotela/ Dlaczego nie dolałaś nafty?

SABINA Nie wiem dlaczego. Po prostu nie mogę, mam... mogę latać po całych dniach do ministerstwa, do kuratorium, do bursy... do... wszędzie mogę... ale dolać nafty do lampy nie mogę... nie mogę... nie mogę...

/Nowe, jasne, ładne mieszkanie. Kazimierz pod czujnym okiem babci zajada z apetytem obiad. Babka z czułością patrzy na wnuka. Gładzi go po głowie. Na kolanach trzyma duży węzełek z brudną bielizną/

KAZIMIERZ Teraz jadę na trójkach, babciu... a tata znowu był u mnie, zabrał mnie do cukierni... jak tam wejść i tatuś powie mi, żebym sobie wybrał co chcę, to z początku mi się wydaje, że zjadłbym wszystko... i rurkę z kremem i napoleonkę i z jabłkiem... ale potem jak zacznę, to zjem dwa, albo trzy, bo tata się śpieszy... Roweru jeszcze nie mam, ale za to znam wszystkie marki i fabryki... na wiosnę muszę go już mieć...

/Tu spogląda na Sabinę, która stoi w pięknym popielatym kostiumie. Odmieniona. Zadbana. Jasna, jak to jej nowe mieszkanie. W klapie kostiumu piękny bukiet fiołków. Kazimierz patrzy na matkę, jakby to ona była winna, że ojciec do tej pory nie kupił mu roweru/

KAZIMIERZ /wstaje, podchodzi do matki/ Mam, a może ty wzięłabyś ten rower na raty, ja wiem gdzie można kupić... najtańszy i na dużo rat...

/Sabina milczy. Patrzy na Kazimierza, doszukując się podo-

bierstwa do Jana. Tymczasem Kazimierz kręci się po pokoju oglądając meble. Przygląda się kartonom Tomasza. Przedstawiają: starą kobietę, w czepku o beznadziejnie spłowiałych od życia oczach. Drugi - wesołego potworka z wielkimi kolorowymi ustami i słomianą strzechą włosów/

KAZIMIERZ Ciągłe coś przybywa... a to pewnie pan Tomasz znowu namalował... szkoda, że on czegoś pożyteczniejszego nie robi, tylko takie "coś"... /spogląda na babkę oczekując znaku porozumienia. Doznaje jednak zawodu. Babka milczy dyskretnie, udając, że go nie słyszy. Kazimierz sięga po doniczkę z begonią. Podaje Sabinie/

SABINA Ach, Kazimierzu... skąd to masz?

KAZIMIERZ Kupiliśmy z tatusiem. Tata powiedział... zanieś to mamie, więc zaniósłem to mamie... /całuje matkę w rękę. Bierze ze stołu paczkę/ Już muszę iść. A babcia dała mi paczkę z "żarciem" i jeszcze włożyła mi coś słodkiego.

MATKA Kawał cieleciny też ci się przyda, bo to jedzenie z kotła...

/Kazimierz wybiega. W korytarzu spotyka się z wchodzącym Tomaszem. Stoją naprzeciw siebie dwaj mężczyźni. Duży, ciężki, bezbronnienie uśmiechnięty Tomasz ze swoim wielkim, ale szlachetnym w profilu nosem i mały czupurny Kazimierz z krótkim, prostym nosem Jana/

TOMASZ Jak się masz, młody człowieku. Już uciekasz... cóż powiesz dobrego?

KAZIMIERZ Nie uciekam, tylko najzwyczajniej wychodzę, a matce i babci powiem "do widzenia", jeżeli to ma być według pana dobre... /uśmiechając się złośliwie mówi do matki i babki/ Będę w sobotę... cześć...

/Sabina w łóżku zastyga w milczeniu. Posmutniała/

NARRATOR Widzieliście, że nic nie zwalczy niechęci małego mężczyzny do kochanka matki. Matka przecież jest od tego, żeby kupowała synowi rower, a nie żeby się kochała z jakimś tam Tomaszem...

SABINA /trzyma w ręku doniczkę z begonią/ To Jan mi przysłał... /Stawia begonię na stoliku. Patrzy z uśmiechem na Tomasza/ ... widzisz i już skończone z Janem...

TOMASZ /Nagle posmutniał. Mówi ponuro/ I po co ci on przysłał takie rzeczy, po tym wszystkim...

SABINA Posmutniałeś, Tomasz... a przecież dobrze wiesz...

TOMASZ Wiem, wiem, ale "zawsze"...

SABINA Co "zawsze"?... Teraz będziemy zawsze razem. Powiedz mi, Tomasz, jakim imieniem myślisz o mnie?

TOMASZ Nie myślę o tobie żadnym imieniem tylko całym sobą. Jeżeli jest mi spokojnie i dobrze, to ty... przecież ty jesteś samą radością. Chciałbym, żeby ten cały pokój utonął w kwiatkach... w takich liściach begonii matowo czarnych, czerwonych, srebrnych, nakrapianych, pomarańczowych i wielkich, gigantycznych... Ach, w bluszczach pokręconych jak liany i w jasnych kaskadach szparagowców - pomarańcze też mogą być - tym lepiej, bo będą kwitły.

SABINA Kupimy sobie fikus, urośnie jak drzewo... i oleandry też, wiesz że to jest drzewo mojego dzieciństwa. Opuncje też szybko rosną. Czy lubisz opuncje?

/Kazimierz z plecakiem zwisającym przez ramię, kolorowy od sprawności, wyszytych na rękawie munduru, stoi przed matką/

SABINA Chciałabym koniecznie z tobą pomówić...

KAZIMIERZ Ano jak koniecznie... mówi się "trudno"... Więc o co chodzi, mamó?

SABINA Siadaj.

KAZIMIERZ Dziękuję, postoję, mamó...

/Oboje wybuchają nagle śmiechem/

SABINA No więc dobrze, może to będzie lepiej tak na wesoło. No więc widzisz, syneczku, jedziesz na ten obóz sam...

KAZIMIERZ Nie tyle sam, ile jedzie ze mną czterdziestu kolegów.

SABINA Tak, ale to jest właśnie... chciałam ci powiedzieć, ostrzec...

/Chłopiec patrzy na matkę jasnymi oczami i Sabinie wydaje się jakby go widziała po raz pierwszy. Kazimierz słucha bez uśmiechu/

Bo widzisz, różnie się może zdarzyć, wpadniesz w złe towarzystwo, kobiety... choroby weneryczne są bardzo niebezpieczne i...

KAZIMIERZ /wybucha głośnym i szczerym śmiechem/ ... Nie wiem, o co mamie właściwie chodzi? O lues? O tryper? Bo są o tym bardzo dobre publikacje... Mogę podać mamie tytuły...

NARRATOR Widzisz, Sabino. Nie można powiedzieć, aby wspaniały harcerz Kazimierz dowiedział się wiele od ciebie. Natomiast ty dowiedziałaś się coś od swego syna, harcerza drugiego stopnia, drużynowego obwieszonego świadectwami wielu sprawności, jaskrawo wyszytymi na rękawie. A jak dalece

i w ilu innych rzeczach był on sprawny czy nie sprawny, tego nie dowiedziałaś się dotąd i nie dowiesz się już nigdy...

/Pracownia Tomasza. Sabina siedzi skulona w fotelu. Jest jej zimno. Tomasz kręci papierosy z bibułki nad pudełkiem/

TOMASZ Widzisz, nowy wdzięk mi przybył.../śmieje się do Sabiny sponad tej skrzyneczki z tytoniem/

SABINA /zaczyna mówić/ Tomaszu... w lutym będę przeniesiona do jakichś Murszewic...

/Tomasz nie odpowiada. Nawet ręka mu nie drgnęła. Zapala skręconego papierosa. Jakby słowa Sabiny nie dotarły do niego. Ale po chwili zaczyna mówić/

TOMASZ No cóż... przypuszczam, że tam klimat lepszy niż tu w Warszawie... I tam jest podobno bardzo ładnie. To zdaje się gdzieś nad granicą rosyjską... "Charoszaja strana". Będę przyjeżdżał do ciebie... będziemy chodzili na spacer... prawda, Sabino?

SABINA /z łóżka uśmiecha się gorzko i pobłażliwie/ Tak. Tomasz był mężczyzną. Nie miał wyobraźni o rzeczach złych, które nie przyjdą jutro, tylko dopiero pojutrze. Przy tym Tomasz nie lubił męczyć się na zapas...

NARRATOR Tylko ty, Sabino, potrafiłaś znakomicie się męczyć na zapas, wstecz i na wszystkie boki...

SABINA ... być mężczyzną, być jak mężczyzna, nie męczyć się... /nagle mówi stanowczo i obojętnie/ W każdym razie z Filtrową skończone.

/Wnętrze pokoju w Murszewicach. Walizki Sabiny. Kosz podróżny. Śmieszne serwetki, figurki, makatki z napisami.

Łóżko z masą poduszek ułożonych piętrowo. Sabina wtulona w kąt kanapy, nieufnie rozgląda się po pokoju. Za oknem nocna, pusta o tej porze ulica - z brukiem, chodnikami i latarniami. Klimat małego miasteczka. Z oddali napływają dźwięki harmonii. Ukraińska dumka wciska się do pokoju. Sabina trzyma w ręku czarnego kota. Obok niej stara Szulcowa/.

SZULCOWA Pewnie on szedł za mną, bo to chodzi za mną jak pies. Zaraz go zabiorę.

SABINA Nie szkodzi... ja lubię koty...

/w zamyśleniu gładzi wibrujące mruczeniem ciało. Nagle ręka jej nieruchomieje. Narasta dudnienie dalekiego pociągu. Rośnie, wypełnia cały dom/

To tak słychać wszystkie te pociągi?

SZULCOWA W dzień to tak nie słychać, tylko wieczorem i w nocy... jak kto nie śpi... ale my to nawet lepiej śpimy jak tam słychać te pociągi...

SABINA /uspokaja się/ Mnie to też nie przeszkadza. Dobranoc, pani Szulcowa.

/Szulcowa bierze kota z rąk Sabiny i wychodzi. Sabina zostaje sama. Za oknem rozlegają się spóźnione kroki, nienaturalne w pustej ulicy. Ktoś śpiewa piosenkę. Wszystko zlewa się z dudnieniem pociągu. Dudnienie rozrasta się w huk tak, jakby miał zawalić się cały dom/

SABINA Niebo i ziemię poruszę, żeby się stąd wydostać. Przecież są jeszcze jacyś życzliwi ludzie w kuratorium. Chyba można jeszcze coś zrobić? I to prędko, zanim matka odnajmie mieszkanie na Filtrowej, zanim porozprasza po znajomych jasne meble, wybierane razem z Tomaszem... zanim Tomasz... zanim Tomasz ktoś... zanim Tomasz z kimś...

/Sabina idzie do szkoły przez brzozowy las. Z przeciwka idzie, a właściwie biegnie, Michał. Stanęli naprzeciw siebie. Michał uśmiecha się, mówi łagodnie/

MICHAŁ A co? Wiosnę mamy? Śnieguliczki już zakwitły... /Mówiąc to wyciąga zza pleców bukiet kwiatów/ To dla ciebie... a teraz muszę pędzić do szkoły, bo mam dzisiaj strasznie dużo roboty... przyjdę jak zwykle... /Powiedziawszy to pobiegł drogą jak szalony/

SABINA /Uśmiecha się patrząc za Michałem. Nagle krzyczy głośno/ Miiiiiichał...

MICHAŁ /odwraca się i odkrzykuje/ Saaaaabiiiiina...

/Głos jego długo niesie się wśród drzew/

SABINA /Jest w swoim pokoju. Układa śnieguliczki do wazonu. Słychać ciche pukanie/ Proszę.

/Do pokoju wsuwa się panna Maria, wychowawczyni z przedszkola. Drobna, wymizerowana twarz. Dobre oczy. Ładna. Bardzo młoda. Ubrana biednie. Brązowa suknia przybrana od góry czymś ciemniejszym. Sabina wyraźnie ucieszyła się z wizyty panny Marii/

SABINA ... cieszę się, że pani przyszła. Zje pani ze mną obiad, panno Mario.

MARIA Za nic na świecie. Ja tylko przyszłam prosić na jutro... będzie popis moich dzieci w przedszkolu... pani wie jak mi na tym zależy, żeby to jakoś wypadło...

SABINA Och, wiem.

MARIA I pana kierownika pani namówi... od niego tyle zależy...

SABINA Michała?... Pana Michała... och tak, na pewno namówię.

/Mówiąc to, gładzi nigdy nie ondulowane włosy panny Marii. Frontowymi drzwiami od ganku wchodzi dyrektorka. Skłopotana, zafrasowana, szara, jak mysz/

DYREKTORKA Pani Sabino. Kochana. Przyjdzie pani jutro wieczorem, ale koniecznie. Bo bez pani to nic nie ma... I panna Michała pani ze sobą przyprowadzi. Z panią to on przyjdzie, a jak ja go poproszę, to powie, że nie ma czasu...

SABINA /śmieje się/ Kiedy on naprawdę jest bardzo zajęty, proszę pani. Te odczyty dla rodziców, wie pani? A koniec roku egzaminy...

DYREKTORKA Wiem, wiem, i ten ogród przy szkole. Ale pani go namówi, prawda? Bo jak w a s nie ma... bo jak w a s nie ma... Boże, co tu zawsze kwiatów u pani...

SABINA A to moje uczennice przyniosły dzisiaj kaczeńce, podobno już kwitną na łąkach za cegielnią...

/Kiedy dyrektorka kręci się po pokoju Sabiny, mała, drobna, zasuszona, i zanurza nos w kaczeńce i niezapominajki - robi wrażenie jakby dopiero teraz, tu, w pokoju Sabiny dostrzegła, że jest wiosna/

DYREKTORKA Gdybym wiedziała, że pani je obiad, przyniosłabym pani kisielu żurawinowego. Bo właśnie mieliśmy dzisiaj. A pani lubi?

/Sabina śmieje się, a panna Maria patrzy na nią swoimi poważnymi oczami/

SABINA A pani lubi?

DYREKTORKA /macha ręką/ Ja już sama nie wiem co lubię. Co

bym im tam w szkole nie zrobiła na obiad i tak będą narzekali, że im dają jedno i to samo. Pani to co innego, pani jest wolna, wesoła...

/Sabina znowu się śmieje/

DYREKTORKA Dosyć się już nastręczałam tych tam różnych... ale przecież wszystko się zmienia, no nie?...

MARIA U mnie nic się nie zmienia.

SABINA Jeszcze się zmieni, panno Mario.

DYREKTORKA Zmieni się na pewno.

/Nagle w oknie poruszyła się firanka i w całej krasie zakwitła w nim Aptekarzowa. Nowy granatowy kostium. Żółte zęby. Rumieńce. Woalka. Kapelusz. Zadyszany oddech. Torebka. Paczka/

APTEKARZOWA Tak teraz ładnie, czy byśmy się nie zabrali jutro, wszyscy razem, przy niedzielę, na wycieczkę do lasu? Weźmiemy konie... wypożyczymy je u tych braci Kminkowskich i... Co to? Teofila tak podśpiewuje w kuchni? Kiedy służyła u Pianków zawsze była ponura... tak, tak, przy pannie Sabinie każdy musi poweseleć... Spotkałam pana Michała, ale się okropnie śpieszył... nawet mu nie mówiłam o tym projekcie, bo zaraz by odmówił, że nie ma czasu, a tak pani go namówi... No co? Jedziemy?

DYREKTORKA Co u licha. Przecież raz w życiu mogę się ruszyć z domu. W lesie musi być naprawdę ślicznie, jeżeli dziewczynki przynoszą pannie Sabinie tyle kwiatów... Jedziemy...

MARIA Nie bardzo mam w czym jechać. A może dałoby się pojechać w tej granatowej sukience w groszki... przypiąć biały kołnierzyk... Ostatecznie na jazdę wozem nie trzeba takich znów strojów, prawda?

/Zaczynają krzyczeć razem/

Jedziemy, jedziemy, jedziemy...

/Sabina z łóżka uśmiecha się szczerze i pogodnie/

/Pod wieczór przychodzi Michał. Jak zwykle zgoniony i zmordowany/

MICHAŁ Wynająłem salę. Przyjadą prelegenci... z boiskiem jeszcze nic nie wiadomo, ci ze starostwa jak zwykle kręcą... ale nie ustąpię... dzieci moje całe lato muszą szaleć po boisku... a koło szkoły zrobię doświadczalny ogródek... za rok na otwarcie półkolonii będziemy mieli własne truskawki... trzeba jak najszybciej zabrać się do roboty... /Wychodzi przed dom/... tu trzeba rozrzuć, tam przekopać... niech no Teofila skoczy do Gruchały, żeby naostrzył gracę...

SABINA Była panna Maria. Prosiła nas na popis do przedszkola...

MICHAŁ Możemy iść jak chcesz... to bardzo biedna dziewczyna... muszę znaleźć dla niej jakąś pracę na lato...

SABINA Aptekarzowa urządza jutro wycieczkę do lasu...

MICHAŁ Niezrównana ta aptekarzowa... spotkałem ją i nic mi nie powiedziała.

SABINA Bała się, że jej odmówisz... więc prosiła mnie, żebym cię namówiła... dyrektorka też pojedzie... i panna Maria...

MICHAŁ /śmieje się rubasznie, stojąc wsparty na łopacie/
Śmieszne są te baby... jak się boją ze mną mówić, to posy-
łają po ciebie...

SABINA Bo wiedzą, że mi nie odmówisz.

MICHAŁ Nie odmówię? Pewnie, że nie odmówię!...

/W tej chwili wchodzi Teofila z gorąco kolacją. Michał nagle zmienia temat/

MICHAŁ ... Ma pani co dobrego na kolację, pani Sabino? Głodny jestem jak wilk... od rana nie miałem nic w ustach...

/Sabina śmieje się do Michała/

TEOFILA Panu kierownikowi należy się wszystko co najlepsze, bo robi za trzech...

/Wieczór. Stół w pokoju Sabiny zastawiony kolacją. Gdzieś z dali dochodzą dźwięki harmonii. Ktoś śpiewa rzewną dumkę ukraińską. Michał zajada z apetytem. Za oknem błyska się/

MICHAŁ To błyska się na pogodę... jutro będzie piękny dzień na wycieczkę... /patrzy na zegarek/ Ale się zasiedziałem... ho, ho... już tak późno. /spogląda na Sabinę, która siedzi nieruchomo/ ... A może nie warto już wracać do domu, skoro jutro mamy wcześniej wstać... przecież już niedługo zacznie świtać... prawda, Sabino? /patrzy na nią przez chwilę. Uśmiecha się/

/Z dali płynie melodia dumki/

SABINA Naturalnie, że nie warto...

/Pokój Sabiny w mieszkaniu Heleny. Helena zdejmuje z małego trzcinowego fotela matki jakieś rzeczy, które leżą tam niepotrzebnie. Siada na łóżku/

HELENA Często wyglądasz jakbyś była czymś bardzo zajęta, Sabino, i nie chciała ze mną rozmawiać...

SABINA /Uśmiecha się do swoich myśli, ale za chwilę gaśnie.
Mówi cicho/ ... a to biurko, które kupowaliśmy z Tomaszem
na Filtrowej, to chciałabym, żeby było potem dla Kazimie-
rza...

HELENA ... trzeba będzie znowu dowiedzieć się u gospodarza
o ten pokój, bo jak tylko będziesz zdrowa, musisz mieć
swoją kąpiel. I tam się postawi wszystkie te rzeczy po mamie
... i to twoje biurko... i co tam jeszcze z Filtrowej...

SABINA Skąd jest to światło na szafie?

HELENA Na jakiej szafie? Ach, na tej... poczekaj, to będzie
od tej latarni na podwórzu, na prawo od bramy... Stróż
zawsze zapala ją najwcześniej...

/Milczenie/

SABINA Powiedz mi, bo nie mogę sobie przypomnieć. Jak długo
mieszkałam z mamą po przyjeździe z Murszewic?

HELENA Zaraz... mama umarła dwudziestego października, więc
to musiało być jakieś sześć tygodni... A dlaczego pytasz?

SABINA Nic. Ja tylko przypominam sobie takie różne rzeczy...
A ten maminy fotel, to wyście od razu wzięli, czy on był
na składzie?...

HELENA Ten fotel?... Zaraz... nie, on nie był na składzie...
ale po co ty to teraz?

SABINA Nic, nic, ja tylko tak pytam...

/Helena siedzi plecami do okna. Twarz jej tonie w półmroku.
Milczenie. Po chwili Helena próbuje zmienić temat/

HELENA ... w Halince kocha się jeden z kolegów, jeden z tych,
którzy po nią przyszli, kiedy szła na bal... w tej twojej
różowej sukni, pamiętasz? Ten wyższy...

SABINA /przymyka oczy/ Nie przypominam sobie...

/W pokoju jest cicho i mroczno, tylko od okna pada światło
latarni/

HELENA ... a Marysia nauczyła się kłamać... Stasia ciągle
lata na wiece i czyta broszury... Karol kaszle i nie chce
się leczyć... a to wszystko przez te papierosy...

NARRATOR Do Sabiny docierają strzępy wyrwanych zdań. Słowa
siostry oddalają się coraz bardziej, bardziej... i nagle
uświadamia sobie, chociaż wiedziała o tym od dawna, że
właśnie to jest jej ostatnie mieszkanie.

/Noc. Sabina leży nieruchomo. Tykanie zegara. Chrobot za-
mykanej bramy. Bezsenność. Sabina gasi i zapala lampkę
przy łóżku. Przez chwilę trzyma żyzeczkę w wysuszonych pal-
cach, jakby chciała zadzwonić. Przewraca się na łóżku.
Nagle wzrok jej pada na fotel matki. Przymyka oczy. Matka
Sabiny siedzi na fotelu w ciemnej sukni. Robi na drutach.
Na kolanach duży kłębek wełny. W pokoju mroczno. Pali się
tylko naftowa lampa. Sabina z łóżka otwiera oczy/

SABINA Mamo, czy mama wie, że dzisiaj w gazecie są aż trzy
wzmianki, że niedługo będzie pokój. Podobno bankierzy orze-
kli, że wojna nie potrwa dłużej niż trzy miesiące...

/Matka Sabiny nie przerywa roboty. Podnosi wzrok. Sabina
mówi dalej/

/off/ ... mamo, podobno żywności starczy tylko do lutego...

MATKA Sabino, nie chodź tak ciągle po pokoju... lepiej zajmij
się czymś... ty o niczym nie myślisz...

SABINA /przechadza się po pokoju. Odwraca się do matki/
... przecież Kazimierz jest u Heleny, ma tam wszystko...
czemu więc nie pozwalasz mi chodzić... ja muszę chodzić
... rozumiesz, ja muszę...

MATKA Życie z tobą nie jest teraz miłe, Sabino. Podnieś mi
przynajmniej kłębek... znowu potoczył się na ziemię...

SABINA /z łóżka mówi pokornie/ Dobrze, mamó. /tłucze się po
pokojach/ Czy może mieszkanie tak nagle się zmienić tylko
dlatego, że Jan poszedł na wojnę?... Ano widocznie może...
wyglądam teraz jak rozczochrana kobieta w płaszczu włożo-
nym na koszulę, w kaloszach na bosc nogi, co nie ma się
dla kogo ubrać...

/W kuchni służąca Sobieska pierze bieliznę. W balii rytmi-
cznie chlupocą mydliny. Sobieska śpiewa/

MATKA Ładnie byśmy wyglądały gdyby nie ta Sobieska... a ty
o niczym nie myślisz, Sabino... o niczym!

NARRATOR A ty tłukłaś się po mieszkaniu, rozdarta pomiędzy
Jana, pomiędzy męczarnie "swoich rannych" w szpitalu, po-
między patriotyczne rozdawanie papierosów na dworcach tym
jeszcze całym, wykrzykującym z okien wagonów... tym jadą-
cym na nowe męczarnie w czapkach czerwonych od goździo-
ków... tym oszołomionym, jakby napojono ich rumem i...
krwią...

SOBIESKA /podnosi głowę znad balii. Uśmiecha się/ Niech
się pani nie martwi. Sobieski też już nie pisze drugi ty-
dzień. A ja nic, robię swoje... co ma być to będzie...

/Sabina milczy/

A jak pan przyjedzie, to zastanie panią chudą, jak szczapa
od tych zmartwień... i co wtedy?

A ten cały szpital... potrzeba to człowiekowi bebechy
nazad wciskać, brzuch zaszywać po to, żeby wysłać go tam,
gdzie mu znowu wszystko wywalą. I to wszystko ma być z te-
go miłosierdzia?

SABINA Przecież to wszystko nie pójdzie na marne...

SOBIESKA Co ma nie iść na marne?

SABINA A te... wszystkie... straszne... męczarnie... prze-
cież sto lat czekaliśmy na tę wojnę, żeby Polska...

SOBIESKA ... dla państwa może i nie na marne. A dla nas,
dla prostych ludzi, zawsze na marne. Jak ja słyszę, jak
to państwo całymi godzinami tak gadają: a to Rosja, a to
Austria, a to to... Chryste panie... Biednemu człowiekowi
wszędzie tak samo...

MATKA Sabino, podnieś mi kłębek... znowu mi upadł...

SABINA /krzyczy głośno, oszalała ze szczęścia/... M a m o ,
m a m o , S o b i e s k a - Jan przyjechał!

NARRATOR I mieszkanie nagle pojaśniało, odmłodziło. I nawet
ty, chuda, zjedzona smutkiem Sabino, wyglądałaś jakbyś
przytyła... Twoje "brunatne", spłaszczone od ciągłego wyglą-
dania oczy uspokoiły się, że przecież Jan jest... że na
niego patrzysz, i że przecież, mimo wszystko, Jan patrzy
na ciebie...

SABINA /z łóżka/ ... Minęła jedna godzina, druga, wypełniona
chciwym wysłuchiowaniem wieści "stamtąd", opowiadań, jak
"tam" jest... ale nagle Jan zaczyna się niespokojnie oglą-
dać na szablę. Już się okazuje, że pełne gwarnej soldates-
ki i dam kawiarnie "Hinterlandu" czekają na niego z otwar-
tymi ramionami, żeby w nich dalej właśnie zbawiać ojczyznę.
Cała banda wojennych kobiet wyciąga go z domu z jego szablą

i całym oficerskim splendorem... tego odważnego, co bez wahania pójdzie sam jeden na cały las bagietów, ale zginie raczej ze wstydu niż da się posądzić, że chciałby posiedzieć w domu, ze swoją smutną, chudą, przedwojenną żoną...

/Słoneczny dzień. Przez okna wpadają promienie słońca. Stasia z kubelkiem węgla przy piecu. Odwraca się do Sabiny/

STASIA Może by pani chciała coś poczytać? Lepiej by było niż tak leżeć i leżeć... co by to można przeczytać, nauczyć się przez tę chorobę... ho, ho, ho...

SABINA /wspiera się na łokciach. Patrzy na Stasię mętnym wzrokiem. Wskazuje na stolik. Mówi cicho/ Widzisz Stasiu, ja czytałam...

STASIA /podchodzi do łóżka chorej/ Same powieści, co to za lektura taka... oś tego przecież nie można stać się więcej uświadomionym. Ja pani Sabinie coś pokażę... /wyciąga zza fartucha kilka broszur. Rozgląda się uważnie dookoła/ Niech pani Sabina nikomu nie pokazuje...

SABINA /uśmiecha się/ Nie, Stasiu... to już za późno...

/I po swego rodzaju oczy. Stasia ostrożnie, na palcach, wychodzi z pokoju/

/Noc. Sabina uderza łyżeczką w syfon. Do pokoju wchodzi Helena/

SABINA Helena, nie śpisz jeszcze? Czy możesz mi zrobić zastrzyk?

/Chwile milczących zabiegów przy chorej. Sabina uspokojona. Oparta o poduszkę. Na kołdrze obok niej gruba książka. Helena podnosi książkę/

HELENA Czytasz znów Sigrid Undset?

/Ale Sabina nie słucha. Myślam jest znowu gdzieś daleko poza pokojem pachnącym lekarstwami i chorobą. Helena usuwa się z pokoju. Na twarzy jej smutek i troska/

SABINA /podciąga się na poduszce/... przymierzanie życia do książek i książek do życia skończyło się na przymierzaniu własnego serca do serca Krystyny córki Lawransa... I to właśnie w tym opuszczanym dotąd miejscu książki, opuszczanym jako takie, na które nie przyszedł jeszcze czas... a teraz właśnie już nadszedł... W s z y s t k i e o g n i e w y p a l a j ą s i ę z w o l n a ... powiedział Szymon Darre. Wszystko można sobie wyperswadować, ze wszystkim można się pogodzić. Ale co robić, kiedy przyjdzie na człowieka taka tęsknota za głupstwem, kiedy się tak okropnie chce usłyszeć zgrzyt Janowego klucza w za-trzasku, albo wymijać nieznosne kałuże w Maruszevicach, spiesząc na spotkanie z Michałem, albo wracać ze szkoły do nowego, własnego mieszkania na Filtrowej... tak... wszystkie ognie wypalają się z wolna...

/Przy łóżku Sabiny stoi pielęgniarka panna Zofia i Helena. Helena jest w nowym kapeluszu, z futrzaną mufką w rękę, w ciepłym płaszczu z szerokim futrzanym kołnierzem/

ZOFIA ...gdyby się natarło octem na wieczór, tak jak powiedziałam, to by się "to" nie zrobiło... Zawsze łatwiej jest nie dopuścić, niż potem leczyć...

HELENA /bardzo zmieszana/ Mój Boże... byłam taka zmęczona wczoraj wieczorem... Ale gdybyś Sabina wspomniała choć słówkiem, że trzeba cię natrzeć...

SABINA Kiedy mnie naprawdę nic nie boli... tylko chcę spokojnie leżeć...

HELENA Sabino, wychodzę do miasta, może ci coś kupić?

SABINA Nie, dziękuję, nic mi nie potrzeba... Idź kochanie, bo się spóźnisz...

/Helena szybko wychodzi z pokoju, od drzwi oglądając się jeszcze na Sabinę.

Panna Zofia, pielęgniarka, przeistacza się w lustrze w pannę Zofię/

SABINA ... Pani już wychodzi, panno Zofio?

ZOFIA /trochę zmieszana/ Tak, dziś muszę trochę wcześniej ... bardzo się śpieszę... ale nasza chora dzisiaj doskonale wygląda... /śmieje się sztucznie/... jakby nie chora...

/Panna Zofia wybiega z pokoju. Aptekarzowa wchodzi do pokoju Sabiny bardzo swobodnie uśmiechnięta. Za nią Dyrektorowa. Dyrektorowa nie ma już zakurzonej, zatroskanej twarzy co w Murszewicach/

APTEKARZOWA Ależ pani całkiem dobrze wygląda, pani Sabino kochana. Nic się pani nie zmieniła, słowo daję...

DYREKTOROWA Tak, tak, ja również uważam, że nic... pani zupełnie dobrze wygląda, tylko zeszczupiała pani trochę... i cerę ma pani taką... widać, że pani dawno nie była na powietrzu, ale to zaraz się zmieni, jak się zrobi ciepło i pani zacznie wychodzić...

/Sabina próbuje się uśmiechnąć. Dostrzega bowiem wszystkie subtelności i niuanse pozatekstowe. Z nabytą w czasie długiego leżenia wprawą widzi siebie tak, jak one ją widzą w tym łóżku i porównują z tamtą Sabina z Murszewic. Sabina czuje się prawie winna wobec nich, że taką oto muszą ją oglądać. Zaprasza gestem, oswobadzając fotele z niepotrzebnych rzeczy/

SABINA Proszę, niech panie siadają...

/Siadają. Milczenie. Z obu pań opadł już pancierz wesołej swobody w jaką się uzbroili wchodząc tutaj i został pełen szacunku smutek. Aptekarzowa ratuje sytuację/

APTEKARZOWA Ładnie to, pani Sabino? Obiecała się nam pani na wakacje i jakże to będzie teraz?

DYREKTOROWA Do wakacji jeszcze daleko, jeszcze się pani dziesięć razy poprawi...

SABINA Kto jest na moim miejscu?

APTEKARZOWA Jakaś nauczycielka z Krakowa...

SABINA Sympatyczna?

DYREKTOROWA Choćby ona była ze złota, to po pani nie chciałoby się nawet na nią spojrzeć...

/Zaczynają teraz mówić obie prawie jednocześnie, z tym, że jedna płaczliwie, a druga na wesoło/

DYREKTOROWA ... nigdy nie zapomnimy pani...

APTEKARZOWA A pamięta pani te nasze jazdy wozem do lasu? Te niedziele u dyrektora?...

DYREKTOROWA ... Uczennicom było strasznie pani żal...

SABINA A jak panna Maria?... Czy szczęśliwa z panem Michałem?

/Konsternacja. Po chwili/

APTEKARZOWA No tak... zapewne... Cóż, panna Maria... nawet teraz wyprzystojniała, jak się trochę odpasła... prawda... wygrzebała się z tej biedy... a pan Michał człowiek na stanowisku, porządny, energiczny, trzęsie teraz całym miastem...

SABINA Tak, tak... Należało się pannie Marii coś w życiu.

/Wchodzi Helena/

HELENA Sabino, kochanie, czy ty nie za wiele mówisz dzisiaj?

/Panie podrywają się spłoszone głosem Heleny/

APTEKARZOWA To my już musimy uciekać... jak się tak wpadnie do Warszawy na kilka dni...

DYREKTOROWA A czy wolno pani Sabinie czytać? Bo takie bezczynne leżenie dla ruchliwej osoby...

SABINA Nie bardzo mogę czytać, ale mam inne zajęcia...

APTEKARZOWA Jakież?

/Helena słucha rozmowy. Sabina uśmiecha się/

SABINA ... Czytać nie bardzo mogę, ale za to myślę. Przecież to także zajęcie...

/Panie wychodzą. Dyrektorowa w przedpokoju rozpłakała się. Helena zagląda przez uchylone drzwi do pokoju Sabiny. Sabina leży nieruchomo z szeroko otwartymi oczami/

NARRATOR ... A co by było gdybyś spróbowała raz jeszcze przemyśleć swoje życie po porankach?

SABINA Nie mogę sobie przypomnieć tego poranka, kiedy pierwszy

raz poczułam w sercu tę jakby zwiniętą, skręconą sprężynę... Leżała cicho i spokojnie jak dobre, ciepłe, śpiące zwierzę... Kiedy to się zaczęło, że jeden jej koniec zaczął lekko, leciutko w sercu drżeć... prawie niewyczuwalnie potem coraz wyraźniej?...

NARRATOR ... w końcu ukłuł niepokojem.

SABINA Tak, nie wiadomo było skąd się to wzięło i kiedy, ale wiadomo było, że jest... nie pomogło udawanie, że się tego ukłucia nie czuje... że wszystko jest dobrze... koniec sprężyny kłuł coraz wyraźniej... Czy Jan już... czy Jan jeszcze... czy Jan... w ogóle wróci na obiad... czy dopiero wieczorem jak wczoraj, jak przedwczoraj... czy znowu będzie "czekanie"?... Ranki wlokły się, rozdygotane od niepokoju, wypchane różnymi sprawami, które miały nie dopuszczać do całkowitego rozkręcenia się sprężyny... Dopuszczały... Nadeszły inne, takie, że sprężyna miała już nie jedno, ale wiele ostrz... każde kłuło inaczej... jedno nazywało się Kazimierz, inne było błyszczące jak pochwa termometru... Ostrza Jana były wielorakie. Osaczały ze wszystkich stron niepokojem... że to nigdy nic nie wiadomo...

NARRATOR ... Sabino, miało być po porankach, a jest po "ostrzach"... i znowu będzie zastrzyk w robocie.

SABINA Czy jest taki zastrzyk, który by uspił wszystkie ostrza?

/Długie milczenie/

NARRATOR ... ano jest... W pokoju chorej wlecze się nuda, zamknięta czterema ścianami... myśli się pourywały, niesforne, wszystkie naraz...

SABINA ... jak się od nich odczepić?... jak je zmylić, jak pogubić?... Rachować do stu? Wpatrywać się w jedną jakąś rzecz? Bo ta noc wygląda, jakby była zrobiona z jednego

długiego pasma, wyciągniętego od ostatniego "czy nic ci nie potrzeba, Sabino?"... od ostatniego zamknięcia drzwi, aż do pustego, zimnego p o r a n k a .

/Wczesny ranek. Na podwórzu zaczyna się normalny ruch. Orkiestra podwórkowa gra "Jesienne róże". Sabina budzi się. Przy jej łóżku stoi Helena, patrząc na siostrę smutnym, zatroskanym wzrokiem. Kiedy Sabina spogląda na nią, Helena przybiera sztucznie pogodny wyraz twarzy/

SABINA Znowu nie idziesz do biura? Czy ten kolega znowu wrócił z urlopu?

HELENA Przecież nie można tak raz po raz jeździć na urlop... Przyjechał, ale inny, skutek jest ten sam... mogę znowu brać robotę do domu... /śmieje się. Jest odwrócona plecami do Sabiny. Pochyla się nad stolikiem/

SABINA Co ty tam kładasz, Heleno? No nie, naprawdę dzwonek?

/Wchodzi panna Zofia/

ZOFIA Jak tam było w nocy?

SABINA I widzi pani, mam już dzwoneczek, ale ja wolę mój syfon. Tak się do niego przyzwyczaiłam...

HELENA Przecież zawsze mówiłaś, że tam w jadalnym nie słychać.

SABINA No tak, nie słychać, ale ja się już przyzwyczaiłam. /śmieje się razem z Heleną/ Karol już wyszedł?

HELENA Nie. Jeszcze nie skończył śniadania. Karolu, Karolu, Sabina się niepokoi, że ty się spóźniasz!

KAROL /staje w progu. Zaciera ręce, jak zwykle zziębnięty/ A właśnie, że nie, właśnie, że wyjątkowo nie... /powtarza głośno i wesoło/ I wracam dzisiaj wcześniej.

/Sabinie zdaje się, że spojrzał jakos dziwnie na Helenę/

SABINA Czy masz dzisiaj posiedzenie zarządu? Opowiesz mi potem jak było...

KAROL Opowiem, opowiem... /znika w przedpokoju/

SABINA Czy u Halinki rozdają świadectwa?

HELENA Jeszcze nie.

SABINA A jak z ratą Kazimierza za motocykl?

HELENA Kazimierz powinien być tu niedługo...

/Sabina przymyka oczy. Splata ręce. Orkiestra na podwórzu gra bez przerwy/

SABINA ... jak to dobrze, że tamta odwieczna sprężyna już nie boli.

HELENA /pochyla się nad Sabina/ Co mówisz, Sabino?

SABINA /nie otwierając oczu/... ja tylko tak, przypominam sobie jedną rzecz... Heleno, dlaczego nie zabierzesz się do swojej roboty?

HELENA Bo... muszę pocerować pończochy.

SABINA ... ja też cerowałam pończochy udając, że czekam na Jana... ale co w tym dziwnego, że Jan... Erlanda też ciągnęło z zawałonego dziećmi i chorobami domu na świat... na szeroką wodę, pod wolny bystry wiatr, do jakichś dalekich

Laponek, drobnych i ciemnych, o dzikim, cierpkim zapachu skóry... a przecież kochał Krystynę córkę Lawransa... i Jan mnie kochał, tylko że się zmienił...

/Helena z Zofią wymieniają spojrzenia. Milczenie. Sabina mówi dalej/

... Co Stasia sieka w kuchni? Mięso na naleśniki? A dla-
czego sieka nożem... Gdzie się podziała maszynka?

HELENA Maszynka jest w naprawie. Trzeba zmienić ostrze...

/Sabina otwiera nagle oczy. Zauważyła, że Helena z panną
Zofią wymieniają znaczące spojrzenia/

SABINA A co tu robi panna Zofia?... O s t r z e ... ostrze.

/Dzwonek w drzwiach. Do pokoju wchodzi Kazimierz. Podcho-
dzi do łóżka matki. Jest zmieszany. Zgaszony. Skurczony
w sobie. Sabina wyciąga do niego wychudłe ręce/

SABINA Chodź tu, synku... jak ci poszło? Spłaciłeś już pierw-
sze raty za motocykl?

/Kazimierz milczy. Nie może wykrztusić słowa. Łzy kręcą
się w oczach. Przygryza wargi, aby nie wybuchnąć szlochem.
Sabina uśmiecha się do niego/

SABINA Nie nauczyłam cię żyć, synku... ale ty się nauczysz
sam życia... ono samo nauczy cię wielu rzeczy... Pamiętasz
... idzie, idzie pan... ty już jesteś dorosły, pan... mia-
łeś mi wtedy podać tytuły tych książek... /Nagle odwraca
głowę do Heleny/... A może byśmy założyły taką szkołę, gdzie
uczą ż y ć?... Heleno, Heleno... czy myślisz, że podlewa-
nie wodą z mydłem szkodzi oleandrom?... Gdyby wypompowano
powietrze, to by się nie widziało, nie słyszało, tak mówi-
ła kiedyś nasza pani nauczycielka...

/W tej chwili zgrzyta zamek w przedpokoju. Wchodzi Karol.
Helena szepce mu coś do ucha/

SABINA Nie wysyłaj, Heleno, Karola do Rozencwajga, nie ma
żadnej potrzeby, bo ja czuję się zupełnie dobrze...

HELENA /blada, zmieniona, próbuje się uśmiechnąć/ Sabino,
Sabino... ja chciałam tylko żeby doktor podpisał nową re-
ceptę na te ostatnie zastrzyki, bo w aptece nie chcą już
dawać...

SABINA Nie chcą dawać?

NARRATOR ... W aptecce w Murszewicach dla ciebie, Sabino,
daliby na pewno... Wtedy na skwerku koło apteki Michał
powiedział: "kocham cię więcej, niż tamci wszyscy..."

SABINA Tak powiedział, ale i on się zmienił...

NARRATOR ... No tak, ale pomyśl Sabino, ile ty miałaś lat,
a ile panna Maria... "Wszystko wszystkim, a w życiu tak
już jest"...

SABINA Kto tak mówił? Czy nie pani Gołębiowska z Filtrowej?
... Tak... Tomasz nie był "zwyčajnym" człowiekiem, ale
i on też się zmienił...

/W przedpokoju doktor Rozencwajg pyta szeptem/

DOKTOR Czy chora od dawna jest w takim stanie?

SABINA ... ale gdyby się nawet nie zmienili, co by teraz
z tego przyszło? Przecież kiedyś człowiek musi być s a m...
... Panie doktorze, przecież ja wszystko słyszę... pan się
zupełnie nie umie odchodzić z chorymi... /śmieje się i do-
daje szybko, aby nie zrobić przykrości doktorowi/... Leka-
rzem to pan jest naprawdę doskonałym... przecież to pan
właśnie przepowiadał.../nagle milknie i przestaje się śmiać/

NARRATOR I w tej chwili Sabina uświadamia sobie coraz lepiej, coraz wyraźniej... to ostrze sprężyny, ten kłopot, to, co koniecznie trzeba zrobić... to przecież jest... po prostu u m r z e ć ...

Ale umarła dopiero w piątek rano. Właśnie, kiedy stróż otwierał bramę spóźnionym lokatorom. I kiedy była sama...

K o n i e c

Marek Domański

MIEJSCE POSTOJU

OSOBY:

INŻ. HERLEWICZ
SEKRETARKA
WŁODARCZYK
ROBOTNIK
DASEWICZ
SAWA
SUMAK
LEKARZ
WRONA
DEZERTER WASIAK
PAWLAK

KUCHARZ
KAPITAN

GŁOSY W TELEFONACH:

MAKOWSKI
KUBACKI
OLEWIŃSKI
STRUDEL
WINIAREK
LUCJAN

Dekoracje: ta sama sala szkolna w dwóch wariantach

/Realia, dotyczące budowy linii wysokiego napięcia, zostały zaczerpnięte z "Pamiętników Inżynierów"
Wyd. Czytelnik 1967/

I

/Obszerna izba w wiejskiej szkole, ławki odsunięte pod ścianę, na środku dwa stoły - przy jednym siedzi sekretarka i pisze na maszynie - przy drugim inż. Herlewicz przegląda plany linii wysokiego napięcia, oblicza coś na suwaku, notuje. W drugim końcu sali stoi szafa szkolna, za nią polowe łóżko, na którym widać nie zasłaną pościel i walizkę z przyborami toaletowymi. Dzwoni telefon - Herlewicz zmęczonym gestem podejmuje słuchawkę. W słuchawce słychać głos Makowskiego/